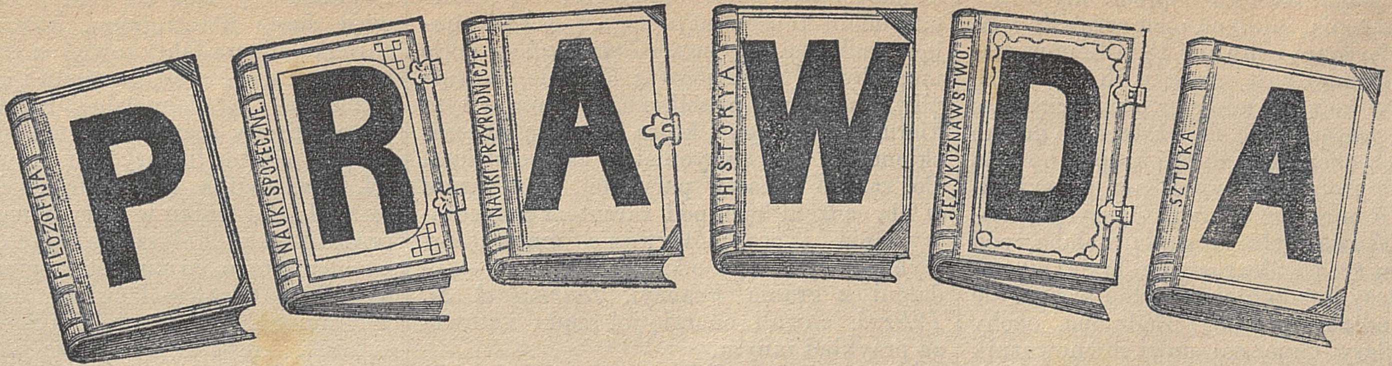
Nr. 24. Warszawa, dnia 14 (2) Czerwca 26 1890 r. Rok X.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Szanownym abonentom naszym przypominamy termin odnowienia kwartalnej i półrocznej przedpłaty.

POLITYKA.

STWIERDZENIE POKOJU.

Mowa tronowa cesarza Franciszka Józefa, a zwłaszcza rozwijający ją wykład (exposé) austryackiego ministra spraw zagranicznych przed delegacyami wspólnemi, uważany jest oddawna za okienko kurtyny, przez które zebrani w teatrze politycznym widzowie oglądać mogą, co się przygotowywa na scenie. Tak dawniej bywało; ale od czasu jak stosunki międzynarodowe wyprężyły się do groźnego napięcia, monarchowie i ministrowie boją się dotknąć ich ostrzejszem słowem, ażeby nie pękły. Oprowadzają oni ciekawych śród prochowni militaryzmu ostrożnie, z pogaszonemi światłami, ażeby jakaś iskra nie padła i nie sprowadziła wybuchu. Tak właśnie uczynił hr. Kalnoky. To też członkowie delegacyj wspólnych dostrzegli tylko w mroku beczki z prochem, armaty, karabiny, kule i usłyszeli od przewodnika, że zasoby arsenału i jego magazynów muszą jeszcze się pomnożyć dla... „ubezpieczenia pokoju.“ Ponieważ jednocześnie niemiecki uczestnik trójprzymierzowej spółki zapowiedział podniesienie swej armii stałej do miliona ludzi i napomknął o żądaniu na ten cel już nie milionów, ale miliardów, więc sojusznik austryacki musi w odpowiedniej mierze wzmocnić swoje pogotowie wojskowe i sięgnąć do kieszeni narodów. W prawdzie uspokojono płatników, że tym razem ich ofiara nie będzie wielką; ale wiadomo, jakie to sztuki czarodziejskie wyprawiają się obecnie w przedstawieniach i rachunkach budżetowych. Na papierze i w mowach ministeryalnych cyfry wyglądają niewinnie, nawet pocieszająco, wydatki zbytkowe maleją na korzyść produkcyjnych, przychód z rozchodem równoważy się lub daje małą i pełną nadziei przewyżkę, nowe zapotrzebowania usprawiedliwione są niezbędną koniecznością, ciężar podatkowy wykazuje wagę puchu; dopiero gdy magiczne przedstawienie się skończy, ludność zaczyna uczuwać, że ją przygniotło większe brzemię i że do jej kieszeni wsunęła się głębiej ręka poborcy. Nie wszędzie zaś, jak w Niemczech, znajdzie się Richter, gruntowny znawca i krytyk gospodarki finansowej państwa oraz kuglarstw budżetu wojskowego, umiejący otworzyć oczy nieświadomym na prawdę położenia. Austrya takiego znakomitego kontrolera nie posiada, więc wyczerpywanie sił materyalnych ludności dla „umocnienia pokoju“ odbywa się łatwiej.

Ostatecznie wszakże zarówno z mowy cesarza, jak z wykładu jej ministra spraw zewnętrznych ludy austryackie nie dowiedziały się niczego, co by ich napełniło otuchą. Rzucono im garść starych plew, garść zapewnień: o bezpieczeństwie pokoju, o pogodnym widnokręgu, o potrzebie nowych a najkonieczniejszych ofiar, o ojcowskiej pieczy rządu itd. W jednym tylko punkcie hr. Kalnoky zabarwił swój różowy optymizm ciemną plamką — mówiąc o Serbii. Przewaga „prądów radykalnych“ nie podoba mu się wielce, a dla niesfornej, kąsającej łydki austryackie prasy żąda on kagańców. Pociesza go w trosce o skutki złego sprawowania się sąsiadki tylko ta okoliczność, że Serbia jest za małym kraikiem, ażeby na bieg polityki europejskiej jakikolwiek wpływ wywrzeć mogła. Za to Bułgarya wydaje mu się dość wielką do sprawienia Austro-Węgrom prawdziwej radości. W wodnistej, szarej, unikającej wyraźnych zaznaczeń gadaninie hr. Kalnokego te dwa szczegóły — sympatyi i antypatyi względem dwu państewek południowo-słowiańskich — stanowiły coś, co ująć było można. Łaknąca też jakichkolwiek faktów dotykalnych prasa europejska uchwyciła na potoku słów pustych te dwie słomki i wydyma przez nie bańki mydlane fantastycznych domysłów. Tymczasem wątpliwości nie ulega tylko to, że Serbia wyzwoliła się zupełnie z pod wpływów austryackich i że musiała już obudzić wielkie niezadowolenie gabinetu wiedeńskiego, skoro lękliwy i ostrożny tłomacz zasad i uczuć jego polityki odważył się na stanowczą dla niej naganę. Ażeby wszakże ta apostrofa miała poważniejsze następstwa — nikt rozsądny przypuszczać nie będzie, zwłaszcza gdy nawet Milan, główny pośrednik i orędownik wpływów austryackich, pogodził się z przywódcą potępionych przez hr. Kalnokego radykałów.

Na piersiach Europy, oprócz zwykłej zmory militaryzmu, nie ciążyła żadna obawa, więc przemowy w delegacyach austro-węgierskich nie sprawiły żadnej ulgi. Nie widziano „chmury,“ więc też nie dostrzeżono tęczy. I nadal pozostała w rękach ministrów „stara lira“ z żelaznemi strunami do wygrywania hymnów na cześć pokoju. Kto w niego nie wierzy, ten jest niepoprawnym fantastą. A kto wierzy? Nikt, kto sięga dalej myślą po za bieżące zapewnienia. W Wiedniu, jak w Berlinie i gdzieindziej, stawili się pełnomocnicy ludów i jeszcze raz podpisali akt pokoju, ale otaczające ich działa, przypatrując się tej ceremonii, krzywiły swe stalowe paszcze złośliwym uśmiechem a drzemiące góry prochu rzucały na udaną radość cień ponury. „Ciemno wszędzie, głucho wszędzie, co to będzie, co to będzie“ — powtarzał jak w *Dziadach* chór tej uroczystości a szydercze echo mu odpowiadało: „głupio było, głupio będzie.“

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W Niemczech zapanowało wprost przerażenie. Nowoobrany sejm radby dogodzić monarsze i jego wielce sympatycznemu kanclerzowi, chciałby zawiązać z rządem stosunki ścisłej zgody, a tu codzień stają przed nim rozwiewne lub uchwytne widma stra-

szliwej wymagalności budżetu wojskowego. Jeszcze przedstawiciele narodu nie ochłonęli z wrażenia, jakie na nich sprawiła wiadomość, że mają uchwalić 18 milionów marek na pomnożenie armii o 18,000 ludzi, a zaraz w komisyi minister oświadczył, że powinni przygotować się wkrótce do daleko większych ofiar. Tuż za tą okropną nowiną zjawił się projekt podwyższenia pensyj oficerom o 5 milionów marek. Opozycya, która początkowo była szczupła i słaba, pod wpływem tych widm rozszerzyła się i wzmogła. Należy już do niej nietylko lewica, ale znaczne odłamy prawicy. Żąda ona, ażeby za te ofiary dano narodowi równoważnik w skróceniu czasu służby do lat dwu. Minister wojny wszakże oznajmił, że jest to niemożliwem. Bismark miał słuszność, gdy powiedział do jednego z korespondentów: „tory mojej polityki są za głęboko wyżłobione, ażeby nowy kanclerz mógł je zmienić.“ Rzeczywiście rydwan państwa toczy się nimi dalej: ta sama, co dawniej, żarłoczność militaryzmu, to samo „mnożenie premij asekurujących pokój,“ te same sposoby i środki działania. Chociaż cesarz, rozdrażniony nieprzyzwoitą i niedyskretną gadatliwością b. kanclerza, kazał rozesłać do swych ambasadorów okólnik z poleceniem objaśnienia obce rządy, iż Bismark nie wyraża obecnie zamiarów i poglądów gabinetu berlińskiego i nie jest wtajemniczony w jego politykę, Caprivi gra ciągle rolę wykonawcy testamentu poprzednika. Bo gdy nawet proszono go o złagodzenie obostrzeń paszportowych na granicy francusko-pruskiej — odmówił, tłomacząc się, że powody, które tę szykanę wywołały, dotąd istnieją.

Urzędowe organy prasy ruskiej, *Journ. d. St. Petersbourg*, *Nord* a wreszcie *Warszawskij Dniewnik* donoszą, że skutkiem znalezienia odłamków bomb w lesie Rancy pod Paryżem rząd francuski rozpoczął śledztwo, wykrył i uwięził grupę poddanych ruskich, którzy pozostają w związku z tą sprawą. Nazwiska ich, poprzekręcane w dziwnej pisowni, nie są pewne, brzmią bowiem: Dżemski, Nanatiew, Kacziniew itp. Istnieją pogłoski — powiada *Dniewnik* — że margr. Salisbury gotów jest porozumieć się z innymi rządami europejskimi dla stłumienia anarchizmu, zamknięcia mu przytułku w Anglii i przeciwstawienia „internacyonałowi rewolucyjnemu“ — „internacyonału konserwatywnego.“ Ale pomijając trudności — mówi *Dniewnik* — jakie mogłyby się nastręczyć w Europie, niewątpliwie udaremni wszelkie usiłowania w tym kierunku Ameryka, która stała się schroniskiem dla rewolucyonistów całego świata. Co zaś do sprawy paryskiej, zamieszani w nią sądzeni będą pod zarzutem przygotowywania i przechowywania materyałów wybuchowych a po odcierpieniu kary—wydaleni z granic Francyi. *Journal d. St. Petersb.* chwali energię jej rządu i stawia za przykład innym.

Na granicy serbsko-tureckiej wybuchły rozterki poważniejszej natury. Arnauci zapuszczają ciągle swe rozbójnicze zagony, skutkiem czego Serbia oświadczyła Porcie, że w razie dalszej bezkarności opryszków, będzie zmuszoną wkroczyć do Macedonii i sama tam zaprowadzić porządek oraz ubezpieczyć swe kresy.

Z grona staro-czechów wyłoniła się nowa grupa umiarkowanych pod przewodnictwem posła Trojana, która ma również wystąpić przeciw ugodzie czesko-niemieckiej. Coraz więcej tedy przybywa rąk pracujących nad poskubaniem tej tkaniny na szarpie.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

USPOŁECZNIENIE PIECZY MACIERZYŃSKIEJ.

(Dokończenie).

Znamy już społeczno-ekonomiczną rolę zup rumfordzkich i innych dzieł dobroczynnej ręki. Winniśmy teraz dodać słów kilka jeszcze. Filantrop daje pieniądze, lecz żąda wzajemności w wymianie usług. Chce on, aby mu dostarczano pewnych widowisk i wymaga tego od ludzi, którym płaci — od praktycznych wykonawców jego dobroczynnych chęci. Ręka ta musztruje zatem dzieci, dziatwa popisuje się swoją moralnością, religijnością i pracowitością przed wielmożnymi i wielebnymi opiekunami i na komendę wygłasza mądrość koszarową. Plantator posiadał prawo znęcania się nad niewolnikiem. Czemuż więc dusza filantropijna, która łoży na ochronkę, niema fabrykować z dziatwy maryonetek według swego gustu i upodobania, pozbawiać ją niemoralnej rzeźwości i nieprzyzwoitego rozpasania ruchów? Jest to jej przynależne historyczne prawo własności. Pedagogika ludowa francuska właśnie toczy dzisiaj walkę w imię innego prawa—prawa dziecka do słyszenia tego co je obchodzi i robienia tego, co mu jest przyjemne a podnosi jego zdrowie i ćwiczy umysł. Pani Kergomard, jedna z wspomnianych dwóch autorek, kreśli w tej mierze dość ciekawe szczegóły, ile to trzeba było trudów, aby wprowadzić do programów zasadę, że dziecko jest przedewszystkiem małem zwierzęciem, potrzebującem w pierwszym okresie życia tylko ćwiczenia zdrowia fizycznego i że znajomość wypraw Wercyngetoryksa, szaleństw Karola W. lub umiejętność wyliczenia departamentów—jest raczej dawką trucizny. Lecz i dzisiaj jeszcze różne tradycye istnieją w całej pełni, a tylko co wymieniona pedagogiczka pyta, czy nawet w rocznicę Rewolucyi francuskiej dziecko nie otrzyma deklaracyi praw swoich. Sądzimy, że poczeka ono w tej mierze jeszcze długo, przynajmniej dopóty, dopóki sam ogół społeczny nie odzyska praw swych dzikich i barbarzyńskich przodków — do posiadania całej wiedzy humanitarnej swego czasu, do oddychania świeżem powietrzem i zjadania dostatecznej ilości pokarmów... Jak widzimy ze wszystkich powyższych faktów, w silnym stopniu podważono jeden z „filarów,“ co więcej że sama czynność otrzymała już znamię opieki państwowej. Lecz obraz nasz nie byłby dostateczny, gdybyśmy nie wspomnieli jeszcze o innych próbach, które bezwarunkowo muszą doprowadzić do unarodowienia jeszcze troski o niemowlęta. Leży to najzupełniej w porządku rzeczy. Przecież najmitka posiada nietylko dzieci trzechletnie i starsze, a ktoś, zanim mu metryka policzy lat cztery wieku, musi przebiedz przez szczeble niższe. Matka zaś zajęta po za domem musi być zawsze wolna od obowiązków macierzyńskich i nieskrępowana w swej społecznej działalności wyrzucania na bruk drożej opłacanej siły męzkiej. Filantropia też znowu pośpieszyła na pomoc. We Fran-

GŁUPI JONA

przez

Jana Nerudę.

Głupi Jona był jakby stworzony do rozweselenia młodych zbytników. Miał już z pewnością lat osiemnaście, wyglądał jednakże jak trzynastoletnie dziecię. Kiedy powracał od kramarza lub kupca, dokąd go często posyłała matka — na dalszą bowiem nie byłby się odważył drogę — kiedy więc cichutko ku domowi kroczył, chłopaki otaczali go z krzykiem: „Jona, głupi Jona!“ On zaś szedł dalej, wolno, udając, że krzyku ich nie słyszy, posuwał się z trudnością, ciężko oddychając; czasami chwiać się nawet zaczynał i zdawało się, że cienkie nóżki nie są w stanie nieść wątłe to ciało. Kiedy więc, nie szczędząc szturchańców, gawiedź uliczna zabiegała mu drogę, Jona zwracał ku niej swe nieruchome, niby z wosku ulane oblicze, a w oczach jego malowała się bezdenna jakaś trwoga. Chwilkę zachowywał się spokojnie, potem nagle zaczynał drżeć tak, jak gdyby go śmierć już w objęcia swe chwytała i próbował umknąć na prawo lub na lewo. „Jona, Jona-a-a!“, rozlegały się za nim krzyki ulicznej zgrai. On nigdy się nie bronił.

Przybywszy do domu, oddawał to, po co go posłali, a potem cichutko siadał sobie przy piecu.

— Chodź do mnie, Janku, chodź! Weź stołeczek i siądź tu przy mnie! — mawiała natenczas starsza o rok odeń siostra, smukłe dziewczę, o złocistych splotach. I odkładała natychmiast szycie.

Wolno wlokąc za sobą nogi, Janek przysuwał sobie stołeczek na miejsce, które mu wskazywała. Ona układała omroczoną jego główkę na swoich kolanach. Szlochał, że aż litość za serce chwytała. Głaskała i pieściła go, powstrzymując łzy, które jej samej do oczu się cisnęły.

— Ja nie jestem idyotą! Nieprawdaż? — szeptał wreszcie, jakby w trwodze. Słaby jego głosik drżał.

— Naturalnie, że nie! Masz przecie rozum, Janku! Nie zważaj na to, co tamci gadają!

— A ty mnie kochasz i ja nie jestem idyotą! Nieprawdaż?

I twarzyczka idyoty promieniała jakimś nieziemskim uśmiechem.

— Weźże teraz skrzypce i graj!

— Nie chcę słuchać jego ciągłego zgrzytania! Wieczorem może sobie wygrywać na dachu, ile mu się podoba—gderała wtedy zazwyczaj matka. Janek siedział spokojnie i spoglądał na siostrę, bacznie śledząc za każdym jej ruchem.

Matka i brat niczem nie objawiali mu przywiązania — miał więc tylko siostrę i do niej przylgnął wszystkiemi siłami słabego swego ducha. W sąsiedztwie mówiono o nim, że jest przez duchа świętego natchniony: grał bo na skrzypcach tak, że nikt by mu nie dorównał! Żeby też on „sztuczek“ nigdy nie grywał i że też ta gra jego tak przecudnie piękną była i — tak dziwaczną, jak on sam!

Janek mieszkał w tym samym domu, gdzie i ja pierwszą moją młodość spędziłem. Znał mnie i przy każdem spotkaniu z uśmiechem kiwał mi głową. Mogę śmiało powiedzieć, że pomimo iż trzpiotem wówczas byłem, nigdy żadnej nie wyrządziłem mu krzywdy. Woskowe jego oblicze miało w sobie dla mnie coś świętego. Wyobraźnia dziecka widziała w niem niezaprzeczone jakieś podobieństwo do owych twarzy, co to martwe, żółtawe, przejrzyste, woskowe, z po za szkieł i ram, z ponad ołtarzy na mnie spoziérały.

Było to w sobotę. Późny wieczór letni wszystko w czarodziejską przyoblókł szatę. Niebo było błękitne i ciemne jak lazur, tu i owdzie migotały srebrne gwiazdki, a pomiędzy niemi płynął wielki, jasny księżyc, topiąc wody i góry w potoku swych blasków i złotem oblewając strzechy nizkich chat i dumnie sterczące wieże kościołów.

Czynne życie, którem wre każde domostwo w każdą sobotę, powoli usypiało. Kobiety, które w dzień po podwórzu się uwijały, a po ukończonej pracy dosyć jeszcze długo stały na wschodach i drewnianych krużgankach, teraz schroniły się już każda do swojej izdebki.

Tylko na galeryjce trzeciego piętra siedziało jeszcze dwoje młodych ludzi, dziewczyna i młodzieniec, pilną, zdaje się, zajęci rozmową. Byli zaręczeni, nazajutrz ślub miał ich połączyć na wieki. Narzeczoną by-

cyi istnieje obecnie tak zwane *Société des crèches*, mające na celu ułatwienie przedsiębiorcom kapitalistycznym wyjścia z takiego stanu rzeczy zapomocą środków filantropijnych i wydające nawet własny buletyn. Przyjmuje ono niemowlęta za opłatą dzienną 10—30 centimów. „Dzięki ochronce robotnica zachowuje możność zarobkowania, nie pozbawiając się dziecka. Rankiem przynosi je, podczas dnia, póki nie jest ono odłączone od piersi, przychodzi dwukrotnie nakarmić je, na noc i dnie świąteczne zabiera je wreszcie do domu.“ W samym Paryżu znajduje się dzisiaj 43 takich ochronek, w pozostałej zaś Francyi 120. Ochronki departamentu Sekwany, w liczbie 60, liczą rocznie 350 tysięcy dni zajętych, tj. około 8,000 niemowląt jest już porwane wirem społecznego podziału pracy w zakresie pieczy wychowawczej. W powyższej liczbie nie zawarto podobnych urządzeń prywatnych lub fabrycznych, które czasami, jak np. w Guise, stoją na nader wysokim stopniu doskonałości i postępu. Towarzystwo wspomniane znajduje się na liście zakładów użyteczności publicznej. Stąd już tylko krok jeden do przejścia ochronek także pod kierownictwo państwa. Nie dalekie prawdopodobnie są te czasy, kiedy uspołecznienie obejmie i tę dziedzinę.

Dążymy więc — i to wbrew woli — do unarodowienia w znacznym stopniu pieczy macierzyńskiej; co więcej, zamianę powstających w tym kierunku urządzeń z rąk przedsiębiorców prywatnych na publiczne należy uważać za czyn nader pożądany. Lecz zachodzi jeszcze jedno pytanie. Pewien fakt może ukazywać się w życiu społecznem nawet na bardzo znaczną skalę, lecz mimo to być jedynie zjawiskiem przejściowem. A zatem, czy w podobnem położeniu nie znajdują się wskazane próby unarodowienia pieczy macierzyńskiej? Przytoczyliśmy poglądy pewnej autorki na niezbędność szkółek macierzyńskich, lubo że ona sama uważa je za objaw nader niepożądany. Wypowiada ona twierdzenie, że „z czasem“ przykra ta konieczność ustanie, mianowicie kiedy warunki zarobkowania ulegną zmianie na lepsze. Obietnica jest nader mglista, mniejsza jednak o to. Rzecz ważniejsza, że nasza autorka zupełnie nie zdaje sobie sprawy z wywołanych przez zakłady macierzyńskie skutków. Naturalnie, mówiąc o tych ostatnich, bynajmniej nie chcemy ich rozpatrywać ze stanowiska interesów dziecka. Jest to istota bezwładna, a zatem bez praw, i podobnie jak dziwnem byłoby żądać od plantatora, aby w swych postępkach kierował się upodobaniami swoich niewolników, tak samo rzadkiem jest, aby w wychowaniu uwzględniano interesy dzieci. Idzie nam o co innego, mianowicie o wpływ rozpatrywanych urządzeń na samą kobietę. Utrwaliło się u nas przekonanie, że obowiązkiem matki jest czuwanie nad jej potomstwem, lecz natomiast nigdy nie zastanawiamy się, czy te wystawiane powinności zaspokajają kobietę, lubo sam fakt istnienia matek bez uzdolnień i popędów wychowawczych daje już wiele do myślenia. Rozumie się, jeśli zwrócimy się do życia, spostrzeżemy kobiety, którym niańczenie i ucieranie nosów zupełnie wystarczają. Lecz dość przypatrzyć się bliżej, aby zrozumieć, że tutaj dużo działa otoczenie społeczne. Owa wzorowa macierzyńskość, w której kobieta wyrzekła się wszelkich szerszych polotów i dążeń własnoosobniczych i stała się istną kwoką, właściwa jest przedewszystkiem tym grupom społecznym, gdzie jedynie mąż zarabia, lecz tak mało, że żona z konieczności staje się niańką. Lecz i taka matka będzie rada, jeśli ukochane maleństwo zniknie na godzin kilka dziennie, byleby znalazło się pod opieką troskliwą. Zamożniejsza zaś, wyzwolona tem samem z więzów pieczy osobistej, najmuje niańkę lub oddaje dziecko do ogródków froeblowskich, słowem przelewa część obowiązków „naturalnych“ na najmitę. I jednakże nikt w tem nie widzi podkopania rodziny! W Anglii, gdzie 50% dziatwy w wieku 3—7 uczęszcza do publicznych, około zaś 25% do prywatnych zakładów macierzyńskich, matka nie może nie powziąć pewnych dążeń w kierunku własnej swobody indywidualnej. Po kilku pokoleniach, kiedy wolność ta przejdzie w potrzebę, nic nie zmusi już kobiety do zrzeczenia się jej na rzecz dziecka. A zatem urządzenia macierzyńskie wyswobadzają w kobiecie szczególne pragnienia, które niedopuszczą do powrotu zwyczajów staroczesnych gdyby nawet warunki zarobkowania uległy najradykalniejszej zmianie. Wprawdzie, istniejącym zakładom można zarzucić wiele, bardzo wiele. Zarzuty jednak nie tyczą się samej zasady, ale sposobów wcielenia jej. Społeczeństwo tegoczesne jest instytucyą nie dla zaspokajania potrzeb swych członków, lecz tylko w celu gromadzenia bogactw i zbierania zysków, a wszelka zasada, nawet najszlachetniejsza, musi doznać wykoszlawienia. Ale tu i owdzie istnieją wzory wyższe, pozwalające zrozumieć, że oddanie pieczy macierzyńskiej osobie trzeciej może być ważnym krokiem postępu. Wystarczyłoby powołać się na urządzenia w Guise, posiadające zresztą jedynie tę donioslość społeczną, że są czasami silną krytyką teraźniejszości. Unarodowione wychowanie, jeśli oprze się na odpowiednich podstawach, po raz pierwszy w dziejach uwzględni indywidualność dziecka. Wyrwie ono je z rąk nie zawsze powołanych i odda „urodzonemu“ pedagogowi. Gdzie setki dzieci spędzać będą czas razem, tam z pośród rzeszy wydzielą się z konieczności drobniejsze grupy, zespolone węzłem psychicznym sympatyi i upodobań; a wyłoniwszy się każde jako taki związek duchowy mogą znaleźć wychowawcę z odpowiednią „duszą.“ Między nauczycielem a pupilami możliwą będzie owa spójnia podmiotowa, o której nadaremnie marzą nasze czasy. Lecz aby zasada unarodowienia stworzyła te skutki, samo społeczeństwo winno przybrać uprzednio nader odmienną postać — stać się asocyacyą wzajemnej pomocy i wzajemnej solidarności. *J. Wojewódzki.*

OSKAR KOLBERG.

I.

Mniej więcej przed rokiem mówiliśmy w *Prawdzie* o Kolbergu. Obchodzono wtedy pięćdziesiątą rocznicę niezmordowanej działalności jego w zakresie ludoznawstwa. Nie spodziewaliśmy się, że w następnym czerwcu spadnie na nas inny a smutny i nieprzyjemny obowiązek— pożegnania niestrudzonego etnografa ostatniem wspomnieniem. Nad świeżą jeszcze mogiłą chcemy rzec słów kilka o znaczeniu zmarłego, już niedostatecznie ocenianem, to znowu przecenia-

---

ła Maryś, siostra Janka, narzeczonym — młody, lecz, jak mówiono, nadzwyczaj zręczny starszy robotnik szmuchniewieckiej fabryki. Zdarzało mu się teraz właśnie korzystniejsze miejsce, więc i śpieszno było z weselem.

Długo już tak siedzieli. Dopóki dom wrzał ruchem, szeptem mówili do siebie, jak gdyby bojąc się świata zewnętrznego, na sobie tylko chcąc się ograniczyć; teraz, wśród ciszy, gawędzili głośniej, noc przecudną niby na świadka swego szczęścia, swoich przysiąg i planów swych wzywając. Przedziwna musi być błogość w uczuciu, jakie napełnia serca kochającej się pary w przeddzień ślubu.

Opodal jeden tylko człowiek głośniej od nich wypowiadał im swe uczucia, lecz nie przeszkadzał. Uczucia jego nie tak złocistym już jaśniały blaskiem — były to elegijne westchnienia, przejmujące tony, które na tęskną, fantastyczną składały się dumę. Pieśń tę śpiewał głupi Jona, który zazwyczaj niemy, w tonach był potężny. Wprawdzie nie z piersi tony te dobywał, marzycielską uczuć jego osłonę inna rozwiewała mowa, a rozumiano ją z łatwością, kiedy białe jego palce, to lżej, to mocniej znowu drgającą naciskały strunę, kiedy smyczek przeciągłymi a potężnymi śpiewał tony, lub kiedy dźwięki, niby czarem, powoli zdawały się zamierać. Było to w głupim Jonie tchnienie ducha świętego.

Gra Janka tworzyła jakby akompaniament do gawędki kochanków, a nie przeszkadzała im wcale. Byli zbyt sobą zajęci i do ponurej jego gry przyzwyczajeni. Przyzwyczaić się ostatecznie można do wszystkiego, nawet do jęków ludzi umierających z głodu...

Nie widzieli Janka, grał ponad ich głowami.

Dom, któryśmy zamieszkiwali, był stary i obrzydliwie zbudowany. Dwupoły jego dach miał z dwóch stron, z podwórza i z ulicy, jakby dwie duże tarcze. Podczas ładnej pogody Janek wpuszczał się ze swemi skrzypcami w utworzone przez te dwie tarcze wgłębienie. I dzisiaj skulił się w swej kryjówce.

Był już w niej, kiedy przyszedł narzeczony siostry. Grał; niezmordowanie, nieskończenie śpiewał jakąś długą dumkę, ciągle jednak elegijnie zabarwioną, lecz ciągle inną w wyrazie. Prawda, że fantazye jego wcale na miano kompozycyi artystycznej nie zasługiwały.

Nagle, nie dociągnąwszy smyczka, urwał, jak gdyby struny posłuszeństwa mu odmówiły. Ręce wraz ze skrzypcami owisły, tylko wychudłe jego lice, nieruchome, jakby skamieniałe, nadal ku księżycowi pozostało zwrócone. Po długiej pauzie podniósł się zwolna. Ostrożnie złożył skrzypce i smyczek i jakby drżąc przed szelestem własnych swych kroków, przesunął się aż do krawędzi dachu. Przechylił się i oczy utkwił w siedzącej na dole parze.

Lekki obłoczek zasłonił księżyc.

Na dole o nim właśnie półgłosem mówiono:

— Zdaje mi się, jakoby Janek niezwykle dzisiaj był smutnym. Czy to już może na koniec mu się zabiera? — pytał robotnik.

Janko kiwa głową.

— On zawsze smutny, biedaczek, szczególniej jednakże od kilku dni — odpowiada Maryś. Zapytuje mnie ciągle, czy też istotnie go opuszczę? Weźmiemy go do siebie, nieprawdaż?

— Z początku niepodobna, może później po niego przyjedziesz.

Pocałowali się.

Janko cofnął się powoli, podniósł się i zwolna, jak wprzódy, wrócił na swoje miejsce. Tutaj znowu usiadł, twarz oparł na dłoni i zapatrzył się w tarczę księżyca. Po policzkach spływały mu wielkie łzy, szlochań jednak słychać nie było. Powoli usta się rozwarły i przerywanym szeptem wymówiły:

— Wiedziałem... nie kocha mnie... tak... jak... jego!...

Siedział długo, bardzo długo, a łza za łzą perliła się po jego licach. Zdało mu się, że boleść go zdusi — zdarł chustkę z szyi i łzy sobie nią ocierał.

Nareszcie zerwał się na równe nogi i znikł w luce dachu. Skrzypce i smyk zostawił.

. . . .

Niejedną noc Jona na dachu spędzał, zaczęto go przeto szukać dopiero nazajutrz, kiedy Maryś w ślubne już stroiła się szaty. Znaleziono go na strychu, wiszącego na własnej swej chustce.

Dopiero po upływie kilku miesięcy Maryś weselne święciła gody.

Przeł. *Malwina Posner.*

nem. Uprzednio jednak musimy w krótkości skreślić biografię Kolberga, tem bardziej, iż daje ona klucz do zrozumienia charakteru jego trudów ludoznawczych. Urodzony w r. 1815, po skończeniu liceum warszawskiego wstąpił do kantoru bankierskiego, lecz niebawem porzucił to zajęcie i wszedł na drogę, na którą pchało go mocniejsze powołanie. W r. 1835 znajdujemy go w Berlinie, gdzie pracuje nad muzyką. Rzuca się później na pole twórczości artystycznej, i operę jego *Król pasterzy*, grano niegdyś na scenie warszawskiej. Lecz głównie pociągają go ku sobie melodye ludowe; splata też z nich mnóstwo utworów drobniejszych: krakowiaków, kujawiaków, mazurków. W tej pogoni i szukaniu kanwy melodyjnej, zwraca się on coraz częściej do bezpośredniego źródła ludowego. W ten sposób nawiązana została pierwsza nić stosunku pomiędzy Kolbergiem a ludoznawstwem krajowem, coraz silniej splatana w miarę bliższego zapoznawania się z żywym przedmiotem studyów. Ukazują się w r. 1842 *Pieśni ludu polskiego*, prowadzone przez lat wiele. Znajdujemy tu jedynie piosnki i melodye, nic więcej. Lecz powoli zmarły wciąga się w coraz rozleglejszą działalność, jego widnokrąg umysłowy i cele rozszerzają się. Przerzucając wydane prace, widzimy, jak gromadzony materyał staje się różnobarwniejszy, jak obok pieśni i melodyj ukazuje się wyliczenie wybitniejszych miejscowości w okolicy wraz z krążącemi w nich podaniami, opisy budowy chałupy wiejskiej i spożywanych pokarmów, używanego stroju i innych rysów charakterystycznych. W dalszych pracach włączone są nadto przesądy, wierzenia, tu i owdzie gadki i klechty. Rezultaty tego badanania zawarte zostały w dwudziestokilkutomowem dziele: *Lud, jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce*. Wypisaliśmy cały tytuł, aby dać pojęcie o różnobarwności gromadzonego materyału. Kolejno przesuwają się przed nami Wielkopolska, Sandomierskie, Krakowskie, Lubelskie, Radomskie, Kujawy. Wreszcie w ostatnich czasach materyał z Mazowsza złożył się na kilka tomów. Prace te, wydane głównie przy pomocy krakowskiej Akademii umiejętności, ogromem swoim wprowadzają każdego w zdumienie, tem większe, jeśli zważymy, że Kolberg wszystko zgromadził przedewszystkiem własnemi staraniami i to w czasach silnej obojętności na takie rzeczy. Pamiętam podziw, wywołany na przeszłorocznym zjeździe folklorzystów w Paryżu, opowiadaniem Dragomanowa o owocach działalności Kolberga i warunkach, w jakich pracował, a jest rzeczą niewątpliwą, że każdy z podobnem uczuciem przygląda się całej biblioteczce, którą ułożył z dzieł zmarłego. Wprawdzie winniśmy zwrócić uwagę, że nie zawsze jest to materyał nieznany. Kolberg, mówiąc o pewnej okolicy, miał zwyczaj przedrukowywania wszystkiego, co istniało o niej w zakresie ludoznawczym. Biorę np. tom XVII. Całe dziesiątki stronic, tyczące się przesądów i guseł, są wprost przepisane z Gluzińskiego. To samo można powiedzieć o opisie różnych osad w każdej części kraju. Lecz nawet odtrąciwszy te przedruki, posiadające zresztą swoją dobrą stronę, stoimy wciąż w obec olbrzymiego materyału, już jednostajniejszego po tem odjęciu cudzych źródeł. Właśnie gusła, wierzenia, leki, zwykle są brane z ręki drugiej, melodye zaś i pieśni zawsze pochodzą od skrzętności osobistej Kolberga.

Z powyższego obrazu możemy powziąć dość dokładne wyobrażenie o kierunku, zaletach i wadach zebranych przez niego skarbów faktycznych. Możemy być pewni, że zawsze tutaj przeważać będzie główne upodobanie Kolberga — muzyka z melodyą, że inne pierwiastki dołączają się mniej lub więcej przypadkowo. Dochodzi do tego, że być może, w pracach ks. Siarkowskiego znajdziemy np. więcej faktów zwyczajowych. Co więcej, Kolberg zabrał się do ludoznawstwa nie z celem z góry powziętym badania folkloru, lecz był wciągany zwolna różnemi okolicznościami, bez odpowiedniego przygotowania naukowo-zawodowego. Dzisiaj brak takich studyów przedwstępnych daje się mniej odczuć w działalności, niż dawniej. Liczne kwestyonaryusze, wypracowane przez najlepsze siły naukowe w tym lub innym języku, odrazu stawiają zbieracza na właściwym gruncie i powstrzymują od manowców. Wymaga się odeń jedynie rzutkości w zbieraniu, sumienności w zapisywaniu, przejęcia się podjętym obowiązkiem — zalet w wysokim stopniu posiadanych przez wydawcę *Ludu*. Atoli Kolberg trafił na inne czasy, gdzie nic podobnego nie było i w braku wykształcenia stosownego musiał stąpać po omacku. Można też zauważyć liczne luki lub wady w jego zbiorach, które wypływają jedynie z tego źródła: notowanie np. względnie drobnych szczegółów a nieuwzględnianie innych daleko ważniejszych zagadnień. W przeszłorocznem wspomnieniu zauważyliśmy, że ktoby na podstawie nagromadzonych przez zmarłego materyałów chciał pisać o zwyczajach pogrzebowych, musiałby wyrzec się tego zamiaru. Do tego możemy dodać fakt nowy. W przeszłorocznej *Wiśle* pomieściliśmy rozprawkę o babie jako wróżce nieszczęścia. Otóż w kilku dziesiątkach tomów Kolberga prawie nie znaleźliśmy do tego przedmiotu żadnych danych. Zdarza się też, że przechodzi on obojętnie obok zagadnień nader doniosłych, na które mógłby udzielić odpowiedź bez żadnego dalszego wglądania się w lud, lecz które pomija milczeniem z braku wskazówek. Mianowicie mamy na myśli antropologię duchową lub raczej artystyczną ludu polskiego. Kolberg zapisywał jedynie pieśni i melodye, lecz z tych notatek możemy powziąć niejakie wyobrażenie tylko o geograficznem ich rozmieszczeniu. Ale z tego niepodobna jeszcze w żaden sposób sądzić o uzdolnieniach artystycznych samej ludności miejscowej. Ilość zebranych melodyj może być jednakowa w różnych częściach kraju, lecz w jednej okolicy jest ona zasobem kilku niezwykle uposażonych jednostek, gdzieindziej zaś rozproszona równomiernie pomiędzy wszystkich mieszkańców. Przy poszukiwaniach swoich Kolberg mógłby z największą łatwością zapisywać podobnego rodzaju objawy i odpowiednio rozszerzyć swe zbiory. Kto tyle miał do czynienia z poezyą ludową, zdołałby np. bez żadnego trudu podać wiadomości, jaką liczbę największą melodyj zapisał on u pojedynczej osoby, ile tak bogatych natur artystycznych można napotkać w zwykłej wiosce, w jakich warunkach ukazują się takie typy i jak zachowują się w życiu. Zastanawiam się dłużej nad tą kwestyą, ponieważ zajęcie się nią — jak to wzmiankowałem — nie wymagało od Kolberga najmniejszego zaniedbania głównego celu zbioru wątków melodyjnych. Atoli zmarły ani przeczuwał, koło jakiej skarbnicy pytań i studyów przechodził z zupełną obojętnością, że potrzebował tylko wyciągnąć rękę, aby czerpać pełną garścią fakty nader interesujące.

Mówiąc to, bynajmniej nie myślimy ujmować cokolwiek z jego zasług, bezwarunkowo olbrzymich. Byłoby to jednak koniecznością wobec bezmyślnych często odezwań się o naszym ludoznawcy. Nadawano jego pracom charakter naukowy, jakiego nigdy nie posiadają i nie posiadały i niewiele brak, aby ktoś nie porównał go z folklorzystami zagranicznymi, zawodowo przygotowanymi do badań. Tymczasem Kolberg jest przedewszystkiem zbieraczem surowego materyału, dość jednostronnym. Uczynił wiele, bardzo wiele, lecz jego działalność nie wyłamała się i nie mogła wyłamać z pod warunków historycznych, w których pracował, i przygotowania, z jakiem do dzieła przystąpił. Zrobił jednakże dużo, więcej nawet niż ktokolwiek inny mógłby uczynić — i to pozostanie stałą jego zasługą. Nad świeżą mogiłą możnaby jedynie wyrazić życzenie, aby najprędzej ukazało się więcej podobnie niestrudzonych pracowników.

Ludwik Krzywicki.

II.

Znaliśmy go wszyscy, a od lat kilku spotykaliśmy codziennie w Krakowie, wracającego do domu przy ulicy Sławkowskiej. Była to niezmiernie typowa postać szperacza naukowego. Skromnie, nawet ubogo odziany, przygarbiony wiekiem, nałogową pracą przy biurku, zastanawiał szczególnym wzrokiem, rzucanym przez okulary ze strudzonych oczu i postawą głowy wyciągniętej naprzód, niby w coś wsłuchanej. Z wejrzenia i obejścia nie miał nic w sobie polskiego, nie było też w żyłach jego ani kropli krwi polskiej, a przecież pięćdziesięcioletnią uprawą niwy polskiej prześcignął najgorliwszych jej pracowników i stał się jej chlubą. Ojcem jego był niemiec, a raczej potomek zniemczonych Kołobrzegów z dawnej ziemi Obotryckiej w księztwie Meklemburskiem, matką zaś — francuzka, córka emigranta z czasów wielkiej Rewolucyi. Rodzina Kolbergów, lubo dopiero od początku tego wieku osiadła w Królestwie, tak się całkowicie spolszczyła, że nietylko młodszy syn ich Oskar, lecz nawet najstarszy Wilhelm nie słyszał już w domu innej mowy. Ojciec naszego etnologa, Juliusz, profesor geodezyi, miernictwa i topografii w uniwersytecie warszawskim, zajęty pracą naukową nad mapami i rachunkami, otoczony sześciorgiem dzieci i mnóstwem kart i instrumentów mierniczych, rwał się do swobody i poezyi. Tłomaczył w wolnych chwilach poetów polskich na język niemiecki i naodwrót szerzył tu kult poezyi niemieckiej (zwłaszcza Herdera). Powiada o nim Brodziński, przyjaciel jego, że „nie znał człowieka z cichszym umysłem, pełniejszym prostoty, jak był Juliusz. Z synów jego, a braci Oskara, wsławił się Wilhelm jako inżenier i geograf nietylko z czynności, ale i z dzieł w tym kierunku ogłoszonych, tudzież Antoni, ceniony w swoim czasie jako malarz kościelny i portrecista.

W takiem gronie przepędził Oskar pierwsze lata swego dzieciństwa, z którego najdawniejszem i najtrwalej przechowanem wspomnieniem pozostała mu postać ukochanej jego mamki Zuzki, chłopki sandomierskiej, która piastując go jeszcze przez trzy lata, napawała czarodziejskiemi nutami piosenek ludowych. Rozwijał się w szczęśliwej atmosferze rodziny zamieszkałej w Warszawie, a zaprzyjaźnionej z najznakomitszemi osobistościami. Do tego samego pawilonu t. zw. koszar kadeckich sprowadził przypadek tego, który umiejętną formą muzyczną przystroił melodye ludu naszego, rozniósł jej dźwięki po całym świecie, i drugiego, który pieśnią gminną natchniony, skruszył klasyczne okowy poezyi naszej i pierwszy nastroił swą lutnię na ton rodzimy — Chopina i Brodzińskiego. W ścianach tego samego domu, gdzie piosnkę zaklinał w tony największy nasz muzyk, a melodyę w urocze słowa — pierwszy romantyk, zamieszkał młodzieniec, którego wkrótce ogarnąć musiał podwójny czar muzyki i poezyi ludowej i kazał mu całe życie zbierać na tych obu niwach samorodne kwiaty.

Od lat najmłodszych odznaczał się Oskar prawdziwym darem do muzyki, który rodzice starannie pielęgnowali. Krok po kroku zdobywając potem tajemnice twórczości muzycznej najprzód w grze na fortepianie pod okiem Vettera i Elsnera, później w nauce harmonii i kontrapunktu pod przewodem Rungerhagena, który potem i Moniuszkę

kształcił, roił młody kompozytor dla przyszłych utworów swoich drogi nowe i nowy świat tonów, ów świat melodyj swojskich, któremi czarował go w dzieciństwie genialny Chopin w swych improwizacyach. Gdy z naukowej podróży wrócił do kraju, zastał społeczeństwo upojone urokiem coraz to piękniejszych utworów poezyi romantycznej.

Wspaniały jej rozkwit wywołał, oprócz płomiennej ekstazy, także chęć do podjęcia poważnych nad ludem badań. Dotychczas uważano lud za ciemną, nieokrzesaną masę, pozbawioną wszelkich szlachetniejszych popędów, niezdolną do żywszego odczuwania objawów życia, skazaną jedynie na to, ażeby się wysługiwać nikłej mniejszości wybranych. Pod ożywczem cieplem, płynącem z Zachodu, zaczęto i u nas zniżać się do wzgardzonych, którzy zdobyli prawo ludzkiego bytu, a jeżeli ten zwrot nie odniósł na razie namacalniejszych skutków, to miał przynajmniej tę dobrą stronę, że odkryto w ludzie skarby, uprawniające go do zajęcia należnego w literaturze stanowiska.

Przykład Zoryana Chodakowskiego, który z kosturem w ręku przeszedł wzdłuż i wszerz całą Słowiańszczyznę, zbierając pieśni, podania i przysłowia, badając zwyczaje, rozkopując kurhany stare, podziałał elektryzująco na cały szereg ludzi wrażliwych. Wacław z Oleska Lipiński, Wójcicki, Żegota Pauli i inni rozeszli się pomiędzy lud, a owocem ich wędrówek były całe tomy pieśni, klechd i melodyj wiejskich, których zjawienie się w ówczesnym świecie literackim niezwykłego nabierało rozgłosu.

Nowy ten ruch przypadł na czas młodości człowieka, który dzięki wrodzonym zdolnościom i wrażeniom doznanym w latach dziecięcych, był niejako już z góry przeznaczony do odegrania w nim pierwszorzędnej roli — co więcej, do ucieleśnienia niejako tego ruchu w swojej osobie.

W pełnem trudów życiu jego był ów kierunek ludowy ową nicią złotą, około której reszta wątku nawija się jak zwykły podkład. Na szary ten wątek pracy za chlebem, w którą silna wola jego potrafiła wpleść pasmo wyższych pragnień, złożyła się kolejno służba w kantorze bankierskiem, prywatne nauczycielstwo muzyki, praca administracyjna w zarządzie kolei żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, a potem w Dyrekcyi dróg i mostów, a przez ostatnie kilkanaście lat miejsce rezydenta w gościnnym domu hr. Konopków. Na tle tego życia pracy i obowiązku snuła się bez przerwy wstęga ulubionych „zajęć ludowych.“ Chociaż wcale niezgodna z dążeniami i usposobieniem jego służba biurowa, dawała mu wszakże przez lat prawie dwadzieścia byt spokojny i dość niezależny po za obrębem obowiązków. Pozostawiały mu one nietylko dość czasu do oddawania się codziennym ulubionym studyom i rozrywkom muzycznym, lecz zarazem zapewniały możność robienia dalszych i dłuższych wycieczek w rozmaite okolice kraju. Przysposabiał się Kolberg do tych upragnionych wędrówek, z najzabiegliwszą oszczędnością ciułając sobie przez cały rok lub więcej grosz na to potrzebny ze swojej płacy urzędniczej. I tym to sposobem, bez niczyjej pomocy, zwiedził po kolei cały obszar dawnej Rzeczypospolitej. Pierwszy zaś znaczniejszy połów, który tak obfitością jak nieposplitą swoją wartością wewnętrzną uszczęśliwił młodego zbieracza i raz na zawsze skłonił go do poświęcenia się tym badaniom, zdarzył mu się w Wilanowie w r. 1839. Od tego roku, datującym początek zawodu O. Kolberga na polu etnografii ojczystej, nie ustawał on w pracy. W ustawicznych jego wędrówkach po kraju mylnie byłoby wyobrażać sobie Kolberga, wędrującego od wsi do wsi, od karczmy do karczmy, jak to czynił Zoryan Chodakowski o pół wieku przed nim. W owym czasie, gdy nakazywano śledzić i chwytać emisaryuszów demokratycznych, etnograf z kosturem dostałby się niechybnie w pierwszej wsi galicyjskiej do aresztu. Jakoż zdarzyło się raz samemu Kolbergowi doświadczyć podobnej przygody, gdy wybrał się z przyjacielem Konopką na piechotę do Czerska. Wędrówki swoje odbywał mniej efektownie, lecz bezpieczniej i skuteczniej. Wybierając się w jakąś nieznaną stronę, starał się pozyskać tam sobie zawczasu gościnne przyjęcie i poparcie u kilku osób z inteligencyi miejscowej, znających dobrze lud okoliczny i posiadających jego zaufanie. Przy pomocy uczynnego gospodarza przyjaźnił się z miejscowymi grajkami i śpiewaczkami, wyszukiwał sobie starych bajarzów, doświadczone swachy weselne, lekarki itp., których usłużność, gadatliwość i otwartość musiał zwykle zdobywać grzecznym poczęstunkiem, podarunkami lub zapłatą.

(D. n.).

H. B.

BADANIA NAUKOWE.

ZWIĄZEK ZJAWISK W CZASIE I PRZESTRZENI.

II. Hypotezy o naturze ciążenia.

Powaga myśliciela, jaką dogmatycy nauki usiłowali podszyć bezpłodną fikcyę działania z odległości, nie zdołała, od czasów samego Newtona, powstrzymać samodzielniejszych umysłów od zastanowień nad fizyczną naturą ciążenia i od wysnuwania odpowiednich hypotez. Wszystkie one dadzą się sprowadzić do jednego z dwóch typów, które dla braku miejsca charakteryzujemy tu tylko jak najogólniejszymi rysami.

Dla wielu rodzajów działań, rozchodzących się z jakiegoś siedliska promienisto, tj. we wszystkich kierunkach, wykazano, że polegają one na drganiach w jakimś sprężystym środku, przenoszących się naprzód z mniejszą lub większą prędkością, zależnie od jego sprężystości. Tak się rzecz ma np. z dźwiękiem, światłem, cieplem promienistem i — jak tego niedawno ostatecznie dowiodły doświadczenia Hertza — z pewnymi wpływami elektrycznymi i magnetycznymi. Natężenie wszystkich tych działań maleje w stosunku kwadratu z odległości, zupełnie tak samo, jak to się dzieje z ciążeniem. Najbliższą przeto była myśl wytłomaczenia i tego ostatniego w podobny sposób; ogłoszono też liczne teorye, usiłujące wyjaśnić ciążenie na zasadzie ruchu drgającego w jakimś środku — bądź podobnym do eteru świetlnego, bądź też identycznym z nim a wypełniającym przestrzenie międzyplanetarne i międzycząsteczkowe. Wszystkie te teorye rozbijają się atoli o jeden szkopuł: wymienione działania dla swego rozchodzenia się wymagają czasu, czego dla siły ciążenia nie zdołano dotyczas wykazać. Gdyby mianowicie działania ciążenia, podobnie np. jak światła, rozchodziły się ze skończoną prędkością, to musiałyby one przedstawiać t. z. aberracyę. Co to jest aberracya? Zrozumiemy to zjawisko z następującego przykładu. Przypuśćmy, że na ziemi ustawiona jest pionowo beczka otwarta od góry i od dołu i że przy zupełnie spokojnem powietrzu pada deszcz tak, że kroplje jego biegną pionowo. Jeżeli któraś z nich przechodzi przez sam środek obwodu górnego beczki, to w razie, gdy ta jest nieruchomą, trafi także dokładnie w środek dolnego. W wypadku natomiast, gdy beczkę będziemy przesuwali, owa kropla nie padnie w środek dolnego obwodu, lecz obok niego albo też na ścianę; chcąc zaś, aby i w tym wypadku kropla taka trafiła w środek obwodu, należy górną część beczki nachylić o pewien kąt w tę samą stronę, w którą ją przesuwamy. Kierunek beczki, reprezentowany przez jej oś, będzie teraz stanowił z kierunkiem pionowym spadających kropli kąt, którego wielkość daje nam właśnie miarę aberracyi (zboczenia) stanowiącej, jak widzimy, wypadkową składu dwóch prędkości — spadku kropel i przesuwania beczki. Weźmy teraz zamiast kropli deszczu promień świetlny, pochodzący od gwiazdy, która w danej chwili znajduje się w zenicie, zamiast zaś beczki — teleskop, to chcąc ujrzeć gwiazdę na przedłużeniu osi tego ostatniego, musimy — ponieważ światło dla swego rozchodzenia się wymaga pewnego czasu, a teleskop wraz z ziemią posuwa się po jej orbicie — górną jego część przechylić w stronę obrotu ziemi. Kąt, jaki tworzy wtedy oś teleskopu z kierunkiem pionowym, daje nam wielkość aberracyi w położeniu owej gwiazdy, zależną, podobnie jak w poprzednim wypadku, od stosunku prędkości światła i obrotu ziemi. Otóż Laplace obliczył następstwa, jakieby wynikły dla ruchów ciał niebieskich, gdyby ciążenie dla swego rozchodzenia się wymagało skończonego czasu i wykazał, że aberracya ciążenia dałaby się zauważyć nawet w razie, gdyby działania jego rozprzestrzeniały się z prędkością, pięćdziesiąt milionów razy większą, niż światła.

Ale teorye tego typu—które możemy nazwać undulacyjnemi — mają jeszcze jedną trudność do zwalczenia, niemniejszą od tamtej. Ciążenie przedstawia pewne cechy, zupełnie odmienne od tych, jakie znajdujemy u światła, dźwięku i innych działań, polegających na drganiach w środku sprężystym. Światło np. może być zatrzymane przez ciała nieprzezroczyste, kierunek jego może być zmieniony przez ustawienie na drodze promieni pryzmatu itd., słowem natura substancyj, znajdujących się między źródłem światła a ciałem oświecanem, wywiera wielki wpływ na natężenie, kierunek i inne jego własności. Tymczasem z ciążeniem rzecz się ma zupełnie inaczej: wszystkie ciała są dla jego działań, że tak powiemy, przezroczyste, nie mogą zmienić ich kierunku, obecność ich nie zmienia wielkości przyciągania dwóch danych ciał, zależnej tylko od ich mas i wzajemnej odległości.

Trudno tedy przypuścić, aby drgania, zachodzące w przypuszczalnym środku kosmicznym, miały stanowić fizyczną przyczynę ciążenia; teorye undulacyjne coraz bardziej też ustępują miejsca t. z. teoryi uderzeń, wygłoszonej po raz pierwszy w początku bieżącego stulecia przez Le Sage'a i później dalej rozwijanej przez różnych wybitnych fizyków. Le Sage przypuszcza, że, oprócz cząstek grubej materyi, stanowiących atomy zwykłych ciał ważkich, istnieje jeszcze nieskończenie większa liczba cząstek drobniejszych i niezrównanie subtelniejszych, które, przychodząc z nieznanych sfer zaświata, przebiegają przestrzeń we wszystkich kierunkach z olbrzymią prędkością — są to t. z. „ciałka pozaświatowe.“ Otóż gdyby tak było, to uderzenia tych ciałek o cząstki grubej materyi musiałyby sprawić, że każde dwie takie cząstki albo dwa takie ciała przyciągałyby się wzajemnie z siłą, dokładnie odpowiadającą Newtonowskiemu prawu ciążenia.

Gdybyśmy mianowicie mieli tylko jedno takie ciało ważkie, dajmy na to tarczę, to, ona, będąc ostrzeliwaną ze wszystkich stron z jednakową siłą, nie poruszałaby się w żadnym kierunku. Umieśćmy natomiast w pewnej odległości od tamtej drugą tarczę, a rzecz się zmieni: każda z nich bowiem będzie ochraniała drugą przed częścią pocisków i obie będą po stronach, odwróconych od siebie, doznawały więcej uderzeń, niż po stronach, zwróconych ku sobie, wskutek czego muszą naturalnie się zbliżyć — będziemy więc mieli prawdziwe przyciąganie. Rachunek pokazuje, że wielkość tego przy-

ciągania zmienia się w stosunku odwrotnym do kwadratu z odległości, a więc pod tym względem zgodnie z powyższem prawem. Ale nie na tem koniec. Przedstawmy sobie te same tarcze, zwrócone do siebie raz ostrymi brzegami, drugi raz — płaskiemi ścianami: oczywiście, że w pierwszym wypadku będą się one wzajemnie ochraniały przed daleko mniejszą ilością pocisków, a więc będą się przyciągały słabiej, niż w drugim, jakkolwiek masy ich zostały niezmienione. To nam pokazuje, że gdyby owe ciałka tylko uderzały o ciała ważkie i następnie się odbijały, wówczas koniecznie wielkość przyciągania się tych ostatnich zależałaby od ich powierzchni, nie zaś od mas, jak tego wymaga prawo Newtona. Dlatego też Le Sage robi dalsze przypuszczenie, iż ciała ważkie są na tyle dziurkowate, albo — jak on się wyraża—klatkowate, że owe ciałka nietylko uderzają o ich powierzchnie, ale w daleko większej jeszcze ilości przenikają do ich wnętrza i zupełnie przez nie przechodzą tak, że wszystkie cząstki materyi grubej, zarówno wewnętrzne, jak i znajdujące się na powierzchni, doznają w równej mierze uderzeń od owych ciałek; w takim zaś razie przyciąganie się dwóch ciał jest już proporcyonalne do iloczynu z ich mas. Później różni uczeni obliczali, jaki stopień dziurkowatości powinna posiadać materya gruba, ważka, tj. jak wielką musi być odległość między dwiema jej sąsiedniemi cząstkami w stosunku do średnicy tychże, ażeby z założenia Le Sage'a wypływało prawo ciążenia powszechnego.

Oddając należny hołd genialności tej hypotezy, należy jednak z drugiej strony przyznać, że przedstawia ona bardzo ciemne punkty. Nie wiemy nic o pochodzeniu ani samych owych ciałek pozaświatowych, ani też zasobu energii, jaki one z sobą przynoszą. Co zaś najgorsze, teorya ta — jak to wywodzi Maxwell — trudno daje się pogodzić z zasadą zachowania energii. Bądź jak bądź, wielu fizyków — pomiędzy innymi Stewart i Tait — są zdania, iż tylko na tej drodze da się kiedyś dostatecznie wytłomaczyć prawo ciążenia powszechnego i że trudności są tu w każdym razie daleko mniejsze, niż przy hypotezach pierwszego typu.

Zagadkę ciążenia usiłowano wyświetlić nietylko na drodze teoretycznej, ale i doświadczalnej: starano się sztucznie wywołać objawy przyciągania między dwoma ciałami, powodujące zmiany w otaczającym je środku. Już Huyghens i Hooke okazali, że ciała, pływające na rozfalowanej wodzie, przyciągane są ku punktowi, z którego się rozchodzą wstrząśnienia. Nadzwyczajne zaciekawienie wzbudziły kilkanaście lat temu — zdaje się jednak tylko pośród fizyków angielskich — doświadczenia Guthriego, który okazał, że lekkie ciała, zawieszone w pobliżu wirującego krążka, zbliżają się ku niemu, jakby „przyciągane niewidzialnym szmerem.“ Zupełnie podobne doświadczenia wykonał później na rozległą skalę badacz francuski Weyher *), nadając im tem większe znaczenie, że zdołał sztucznie naśladować zjawiska różnych wirów powietrznych, jak cyklonów, orkanów, działu trąb morskich itd. Przedmiot ten zbadał także teoretycznie p. Gosiewski **), który obliczył, że np. wirujący młynek — tj. bęben opatrzony kilku promienisto osadzonemi łopatkami — przyciąga znajdujący się w pobliżu krążek z siłą, odwrotnie proporcyonalną do kwadratu z odległości (co przedtem doświadczalnie stwierdził Weyher) i wprost proporcyonalną do kwadratu z prędkości swego obrotu (co wymaga jeszcze praktycznego potwierdzenia).

*) Patrz szczegółowy opis tych nader ciekawych doświadczeń we *Wszechświecie* za r. 1887 nr. 21 i 24.

**) Odnośna rozprawa drukowaną jest w XIX tomie *Rozpr. i Spraw. Wyd. Mat. Przyrod. Ak. Um.* w Krakowie.

Jakkolwiek teoretyczne i doświadczalne próby wykrycia fizycznej natury ciążenia nie doprowadziły jeszcze do pożądanego rezultatu, to jednak, jak to widać z powyższego, zbogaciły one, bądź co bądź, naukę oryginalnymi pomysłami, ciekawymi rachunkami i doświadczeniami. Tymczasem hypoteza, stanowczo głosząca działanie z odległości bez pośrednictwa wszelkiego środka jako ostateczną, niedającą się już dalej wytłomaczyć własność materyi, zwalnia tem samem badaczów od wszelkich dalszych w tej mierze dociekań i — według wyrażenia Kanta — „usypia ich rozum na łożu ciemnych jakości.“

Henryk Silberstein.

HISTORYA.

Dr. Antoni Rezek: *Dĕje Czech a Morawy za Ferdinanda III až do konce trzicitilete walky* (1637 —1648). Praga, 1890 r.

Dr. Antoni Rezek, były redaktor *Historického Sborniku* dał się już poznać kilkoma monografiami, między którymi przedniejsze zajmują miejsce dwie rozprawy, dotyczące elekcyi i panowania Ferdynanda I. Z pracy tej poczerpnąć mogą historycy nasi niemało szczegółów z powodu spółczesnej z Ferdynandem I kandydatury Zygmunta I Jagiellończyka.

Czasy po przytłumieniu kalwinizmu w Czechach i na Morawach znalazły w p. Rezeku przedmiotowego i krytycznego badacza. *Dzieje Czech i Moraw za Ferdynanda III* stanowią cenny do dziejopisarstwa czeskiego przyczynek. Autor na zasadzie nieznanych dotąd źródeł kreśli nam charakterystykę Ferdynanda III, który w stosunku do fanatycznego ojca był monarchą łagodnym i wyrozumiałym. On to pokojem westfalskim (1648 r.) zakończył krwawe boje, przytłumiające wszystkie zdobycze kulturalne epoki Odrodzenia. Ogromne przestrzenie pod berłem Habsburgów przedstawiały wtedy jedną pustynię. Z zachodu francuzi sprzymierzeni ze szwedami zagrażali rzeszy, ze wschodu zaś turcy najeżdżali Węgry. W Siedmiogrodzie, następca Betklen Gabora ks. Jerzy Rakocy wzdychał do niepodległości, to też z utajoną w sercu radością śledził najazdy turków, których skrytym był sojusznikiem. Sam nawet Urban VIII papież, więcej będąc włochem niż katolikiem, sprzymierzył się przeciw Austryi z Francyą i szwedami. Nieprzyjaciele Habsburgów, gwoli ich zniweczeniu, pokrzepiali wzrastający w Niemczech partykularyzm. Radzi też opieki swojej udzielali wygnańcom czeskim. Usiłowali oni zapomocą setek broszur i pamfletów wytworzyć wśród książąt rzeszy opinię, że panowanie Habsburgów jest zgubnem nietylko dla swobód, ale i dla odwiecznej państwa rzymskiego tradycyi, według której, elektorowie zgodnie z artykułami złotej bulli Karola IV, obierali królów niemieckich. Agitacye wybuchnęły niebawem płomieniem wojny, która i Czechy przez najazd szwedów ogarnęła. Okrom klęsk, nic innego pobratymcy nasi w rzeczi tej nie uzyskali. Autor jasnemi barwami kreśli nam stan ekonomiczny kraju, prawa, administracyę i kościół, najważniejszy wówczas czynnik cywilizacyjny. Jezuici, mający za sobą samego nawet Ferdynanda III, byli samowładnymi wszędzie panami. Oni też zawładnęli uniwersytetem. Napróżno arcybiskup prazki, kardynał Harrach, usiłując założyć oddzielne pod jurzydykcyą swoją seminaryum, zamierzył poskromić zuchwałych synów Lojoli, nieuznających zwierzchności arcypasterza, z ramienia kuryi rzymskiej na stolicy posadzonego. Jezuici, mimo klątew Urbana VIII, ani na koniec palca z zagarniętych swoich nie ustępowali. To też spręzystości i stanowczości tych zakonników zawdzięczają czesi przytłumienie swojej oświaty. Potrzeba było dopiero nowych prądów humanitarnych XVIII stulecia, które, zniweczywszy czarnych stróżów ciemności, przygotowały z czasem podwalinę do odrodzenia się narodowego.

Praca ta przedmiotowa, wolna od wszelkiej tendencyjności, wyszła dotąd w dwóch zeszytach, całość składać się ma z czterech. Niema w dziele p. R. owego sztucznego spajania faktów dla wykrycia właściwej ich przyczyny. Metoda taka grzeszy doktrynerstwem, właściwem szczególniej umysłom niedojrzałym. Historyk nasz przystąpił do badań bez wszelkich z góry nakreślonych pomysłów, zadawaląc się jeno istotnymi faktami.

J. F. Gajsler.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA NIEMIECKA.

6 czerwca.

Najnowsza próba stworzenia powieści berlińskiej: Heiberga „Dunst aus der Tiefe.“ — Wolna miłość i poligamia w oświetleniu poezyi: Wahlheima „Aus freier Wahl“ i Jensena „Doppeleben.“

Powieść berlińska, „Der berliner Roman“ — oto szczyt ambicyi dzisiejszych beletrystów niemieckich. Oprócz Lindaua i Fontanego cały szereg autorów *minorum gentium* kusił się o stworzenie tej powieści, lecz żadnemu z nich nie przyznała krytyka, że zdołał istotnie odzwierciedlić w swym utworze cały obraz życia berlińskiego. Wobec tego wzięli się oni na inny sposób: wypisują sami na karcie tytułowej ten epitet, którego im głos opinii powszechnej odmawia. Taką tytularną powieścią berlińską jest najnowsze dzieło Hermana Heiberga, który sławę zdobytą w ciągu lat ostatnich obniżył nieco swą przedostatnią pracą „Esters Ehe,“ nacechowaną niesmiałym filosemityzmem, a nie powiększy jej chyba utworem ostatnim „Dunst aus der Tiefe,“ w której znowu barwi się nieśmiały antisemityzm. Podobnie jak „Fliegende Blätter,“ uwzględniając szeregi swych żydowskich abonentów, nigdy nie występują z antisemityzmem zdecydowanym, wyrażnym, poprzestając jeno na zaznaczeniu pochodzenia figur ośmieszanych w rysunku, Heiberg zadawala się również kreśleniem postaci takich, jak koniarz Mendel i bankier Simon, nie wspominając wcale o ich wyznaniu i rasie. Nie w tem jednak przyczyna, że powieść jego stoi na wyżynie poprzednich utworów. Winna temu głównie wadliwa kompozycya, przejęta z romansów sensacyjnych. Utwór Heiberga zawiera właściwie dwa, przeplatające się w formie rozdziałów niepowiązanych treścią. Zdaje się czytelnikowi czasem, że przegląda tygodnik ilustrowany, mieszczący ustępy różnych powieści, obok siebie drukowanych. Z rozdziałów, kreślących dzieje towarzystwa zbrodniarzów, przechodzimy wprost do obrazów z życia wyższych sfer towarzyskich; przy końcu dopiero bohaterka jednej powieści przypadkiem dostaje się do grona figur drugiej. Zresztą Heiberg pozazdrościł wawrzynów Eugeniuszowi Sue; przekonawszy się, że niepodobna mu zostać niemieckim Zolą, pragnął zostać bodaj niemieckim Sue. Atoli recepta ostatniego zaleca niesłychaną ilość zbrodni i bezdennej nikczemności mieszać z nadziemską szlachetnością i bezinteresownością, Heiberg zaś nie zrównoważył złodziejów, zbójców i rozpustników swych legionem aniołów. Że jednak jest on talentem prawdziwym, większym, który obecnie jeno zeszedł na bezdroża, o tem świadczy dramatyczna osnowa powieści kryminalnej i świetna, subtel-

na charakterystyka postaci, zaliczanych do t. zw. towarzystwa. Berlińczyków zajmie jego utwór tem najbardziej, że niektóre postacie, jak np. adwokat Ignis, bankier Simon, p. Priminil i śpiewaczki, znane są im z życia.

Równocześnie niemal pojawiły się dwie powieści, osnute na pokrewnej nici przewodniej: ideały życia istnieją tylko w myśli, w jednostkach wybranych, ile razy zaś zechcemy urzeczywistnić je, rozbijają się one o właściwości natury ludzkiej. Można odczuwać najgłębiej powołanie do stworzenia sobie stosunków idealnych, lecz stworzywszy je, zazwyczaj trzeba ginąć. Bohaterem powieści Wahlheima „Aus freier Wahl“ jest dyplomata baron Felseck, człowiek o wyższym umyśle, sercu szlachetnem, rycerskiem, obdarzony nadto wybitnym temperamentem. Poślubiwszy hrabinę Trautenau, którą kochał prawdziwie, nie znalazł szczęścia małżeńskiego. Piękna żona jego, skłonna do kokieteryi i do stosunków świeżych, nadużywała miłosnego jego zaślepienia, oszukując go z rafinowaną przebiegłością. Rycerski Felseck, przekonawszy się o zdradzie żony, nie wygnał jej z domu, lecz pod naciskiem odkrytej winy sama ona ustąpić musiała. Czyniąc to, nie chciała zgodzić się na rozwód. Felseck przeżył lat parę rozgoryczony; dola jego rozjaśniać się dopiero zaczęła, kiedy poznał pannę Walden, której natura silna, szlachetna i jasna uszczęśliwiała go. Obcując przez czas dłuższy z tym dzielnym, zacnym człowiekiem, pokochała ona go głęboko, a kiedy Felseck traci wzrok i ma ociemnieć, zapomina o sobie, opuszcza dom rodzicielski, zrywa z otoczeniem zwykłem i łączy się z człowiekiem żonatym, pragnąc mu być podporą w nieszczęściu. Pogarda świata zwala się na kobietę, która obraziła porządek uświęcony. Nie czuje ona kolców męczeństwa, póki stosunek jej z przyjacielem opiera się na czystej, głębokiej, wzajemnej miłości. Już czytelnik wierzyć zaczyna, że to wzbicie się ponad utrwalone normy życia, to śmiałe pokonanie przesądów ludzkich zapewnić może naturom wyższym szczęście: lecz autor z głęboką prawdą wykazuje, jak pierwiastki czysto ludzkie, niższe, a jednak i niepospolitym ludziom właściwe, podkopują tę harmonię. Tragizm stosunku występuje z chwilą, w której Felseck po przebyciu operacyi odzyskał wzrok. W Karolinie Walden budzi się kobieca zazdrość. Wyrzuca ona Felseckowi, że mógłby się dać uwieść ponownie piękności swej żony i namiętnie przeciw niej występuje. On zaś znajduje się w położeniu fatalnem: nadludzka troskliwość, z jaką Karolina pielęgnowała go podczas choroby i śmierć ukochanego dziecięcia zniszczyły jej piękność, twarz jej blada i smutna, postać pochylona oziębiają coraz bardziej miłość jego ku kobiecie, dla której czuje wdzięczność najgłębszą. Lecz Karolinie pozostało tyle jeszcze szacunku dla siebie samej i dla ideału, że nie poprzestaje ona na miłości równającej się jałmużnie; nie chcąc splamić wspomnienia stosunku idealnego, opuszcza Felsecka bez goryczy i wraca do sędziwej matki. Życie jej jest złamane.

Powieść Wilhelma Jensena „Doppelleben,“ przewyższa utwór Wahlheima pogłębieniem filozoficznem. Chciał w niej autor uwidocznić owe dwoiste w człowieku życie: jedno, obejmujące nadzieje, marzenia ideały, drugie, wiążące się z biegiem losu rzeczywistego. Dwa te prądy nie łączą się zwykle w strumień jasny i czysty, lecz przecinają się i mącą, wytwarzając żal. Kapitan Karol Lundnark w innem jeszcze znaczeniu wiedzie życie dwoiste: zaślubił on dwie małżonki, jedną w Europie, drugą w Ameryce; żyje na przemian z jedną i drugą i dwie posiada rodziny, z których jedna nie wie o istnieniu drugiej. Lecz nie jest on bynajmniej rozpustnym awanturnikiem: jest to człowiek o poglądach idealnych, wyższy ponad konwenanse moralne, dążący do harmonii z własną naturą. Harmonię tę znajduje on jedynie, czyniąc zadość wrodzonemu swemu prawu życia. Prawo to powiada mu, że monogamia opiera się jedynie na woli ludzkiej, nie na naturze człowieka; że własna jego natura zniewala go do ulegania dwoistej tęsknocie i miłości. Przed trybunałem sumienia jego norma jest pustem słowem; przeciwstawiając własne przekonanie samowoli milionów, sądzi, że nietylko nie zgrzeszył przeciw przyrodzonym prawom ludzkości, lecz owszem według ich myśli działał. A przecież człowiek ten, którego poglądy są tak jasne i zdecydowane, którego energia jest tak wielką, a przezorność tak niepospolitą, że przez lat dwadzieścia ukrywać umiał skomplikowany aparat swego szczęścia, upada wreszcie pod ciężarem obaw, trosk i goryczy, rodzących się z chwilą, w której dwie jego rodziny wzajemnie o sobie się dowiedziały. Dzieci jego amerykańskie schodzą się przypadkowo w porcie niemieckim, a Manuela i Annę łączy niebawem miłość namiętna. Lundmark, zanim sam z życiem się żegna, rozrywa młodą parę, z obawy, że kiedyś wola ustaw ludzkich rozdzieliłby ich mogła, niweczące na zawsze ich szczęście. Bez tej obawy nie byłby targał ich miłości, gdyż „brat a siostra, to jeno słowo, wymyślone przez ludzi, aby miłość waszą nazwać zbrodnią i zniweczyć ją — nie zakaz przyrody.“

Ładawa.

ROBERT BROWNING.

Asolando (Fancies and facts.) Londyn, 1889.

W Westminsterze, obok największych geniuszów, jakimi ludzkość poszczycić się może, spoczął Browning. Umieścili go tam „dumni synowie Albionu,“ znani ze swej oszczędności i praktyczności — jest to bowiem najtańszy i najłatwiejszy sposób sprawienia sobie wielkiego człowieka w naszych czasach, tak jałowych pod tym względem. Wprawdzie przypadek zanosił już wielu karłów pod dach słynnego opactwa, ale to takich, których urodzenie postawiło na szczycie — nie duchów, ale grzbietów ludzkich; dzięki czemu wszakże Browning znalazł się w Panteonie angielskim, trudno zrozumieć. Na bezrybiu i rak jest rybą. Jeżeli posłuchać niektórych krytyków angielskich, to wypada, iż nigdy nie było większego poety, a szczególniej dramaturga nad Browninga. On, proszę was, stworzył dramat psychologiczny, on na miejsce „teatru zewnętrznego,“ wyrażającego się w czynach, postawił „teatr wewnętrzny,“ polegający na analizie duchowej, on „wyprowadził na scenę ten świat tajemniczy, w którym czynny się przygotowują.“ Ale Browning nie kontentuje się zwykłą analizą psychiczną— ciągną dalej zapaleni chwalcy — o, nie, dla niego każda dusza jest nowym i odmiennym przejawem „idei dobra“ i uchyleń od niej, co służy mu do wprowadzenia w dramaty pojęć i przekonań moralnych. Wprowadzenie znów psychologii i etyki do sztuki ma stanowić główną cechę oryginalności Browninga, która powinna mu dać pierwszorzędne miejsce nietylko w literaturze angielskiej, ale nawet i w europejskiej. Zobaczmy, o ile sądy te są słuszne.

Psychologia Browninga posiada wartość nader podejrzaną. Nie jest to francuska, realna analiza, chcąca wywodzić czyny ludzkie z pobudek duchowych, lecz idealizm najgorszego gatunku, zaprawiony sosem protestackim. Zdaniem jego, fakty życia duchowego nie podlegają prawom przyrodzonym, nie są zawarunkowane przez zjawiska realne, które nauka współczesna bada, lecz cel i ujście swe mają w „pierwotnej świadomej przyczynie.“ Sztuka powinna wyjaśniać stosunki pomiędzy duszą ludzką a Bogiem. Analizując uczucia, namiętności, pojęcia i wierzenia swych bohaterów, Browning stara się odnaleźć związek ich ze światem nadzmysłowym. W „przesileniach wewnętrznych“ duszy szuka on „objawienia boskiego.“ Widzimy więc, iż mamy tu do czynienia z metafizyką najgorszego gatunku. Rzeczywiście, Browning wciąż płynął przeciw ogólnemu prądowi naszego wieku, który w doświadczeniu widzi alfę i omegę ludzkiego poznania, istotę nauki. On na miejscu ich stawia wiarę, a z objektywnem badaniem toczy bezustanne walki.

Z drugiej strony zachodzi pytanie, czy „teatr duszy,“ który Browning miał stworzyć, nie jest swego rodzaju „contradictio in adjecto.“ Zdaniem jego, dramat kończy się tam, gdzie się akcya rozpoczyna — to też wszystko redukuje się u niego do mniej lub więcej nudnych monologów, w których bohaterowie opisują swe położenia i zapomocą deklamacyi wyrażają stan swej duszy. Tymczasem sama istota dramatu wymaga, by „przełomy duchowe“ przejawiały się nie tyle w słowach, ile w „czynach zewnętrznych.“ A zresztą, czyż można odtworzyć duszę w jej całości, wyjaśnić złożony jej mechanizm, nie postawiwszy bohatera w odpowiednich sytuacyach, nie wprawiwszy go w ruch i życie? Cała przeszłość sztuki dramatycznej każe dać przeczącą odpowiedź, a utwory Browninga na pewno w tej dziedzinie przewrotu nie zrobią. Nie potrącił on ani jednej nowej struny w duszy ludzkiej, a wszystkie jego „analizy“ są tylko powtórzeniem tego, co przez innych było już stokroć powiedziane i to w sposób bez porównania doskonalszy. Mamy tu najbanalniejsze uczucia i najbanalniejsze ich „kryzysy,“ przedstawione w formie nudnej, nienadającej się do sceny.

Ale, gdy kogoś do Panteonu zaniesiono, trzeba mu ze wszystkich wad porobić zalety, szczególniej zaś, gdy tego rodzaju zalety można policzyć na karb mistycznego „teatru duszy.“ Nie zapominajmy wszakże, iż Browning „wprowadza do sztuki ideały moralne“ — a czerpał je z owej niezrównanej a wiadomej krynicy dobra, piękna i prawdy. Dzieje ludzkości są rodzajem wielkiego koncertu, w którym panuje wieczna harmonia: każda jednostka przyczynia się do zaprowadzenia porządku wyższego, spełniając swe obowiązki na zgóry naznaczonym szczeblu drabiny społecznej. Kto zgrzytliwy ton do harmonii tej wprowadza, będzie potępiony, reszta — powiększy grono aniołów. To też każdy biedak jest w istocie rzeczy równie szczęśliwy, jak i bogacz. Oto np. „Pippa,“ biedna robotnica z Asolo, zazdroszcząca czterem najbogatszym ludziom z tego cnotliwego miasta, przekonywa się nareszcie, iż jest szczęśliwszą od nich, albowiem nie posiada ich utrapień; wprawdzie nie spostrzegła ona, iż utrapienia te nic wspólnego z bogactwem nie mają, ale to bynajmniej nie zmienia owego porządku, jaki w głowie Browninga panuje. A oto i „filozof“ Kleon dowodzi, że materyalne bogactwo prowadzi wprost do potępienia. Radujcie się więc biedacy i szukajcie szczęścia „moralnego,“ zwłaszcza, że w ten sposób zyskacie nieśmiertelność na tamtym świecie i to niechybnie: p. Browning gotów przysiądz. Ale pocóż mamy wyliczać morały „wielkiego dramaturga,“ jeżeli możemy przedstawić je w artystycznem zastosowaniu. Moglibyśmy to uczynić na pierwszym lepszym utworze, gdyż wszędzie znaleźć można odpowiedni bukiecik tych kwiatków przepysznych, ale wolimy wybrać najsłynniejsze, wiekopomne— zdaniem niektórych — dzieło Browninga: „Paracelsus.“ Przy samem brzmieniu tego nazwiska słyszę górnolotne tyrady uczonych angielek — złożonych z duszy i włosów, jak mówią Goncourtowie. Jakaż bowiem czuła dusza się nie rozrzewni, czytając jego okrutne monologi? W rzeczywistości „Pa-

racelsus" jest karykaturą Fausta: zwichnięte dziecko naszego wieku, a przynajmniej okresu romantycznego, zamieniło się u Browninga na wykolejonego sklepikarza, a jaskrawe fajerwerki śmiechu Mefista i wspaniałe obrazy ciszy, wśród których Faust stara się ukoić burzę swego serca i głowy — wszystko to przetopiło się na umiarkowaną, ckliwą i nabożną gadaninę Paracelsusa. Bohater ten, w pierwszym akcie, będąc studentem w Würzburgu, oświadcza swym kolegom, iż, palony żądzą wiedzy, puszcza się w świat dla poznania istoty rzeczy. Celu, rozumie się, nie dopiął i w dziewięć lat później spotykamy go rozczarowanego w Konstantynopolu. Rozpacz jego — jak autor zapewnia — jest głęboka, ale na szczęście zjawia się — nie Mefisto— nie, tylko słodkawy poeta, Aprile, wskazujący naszemu bohaterowi sławę i miłość, które brak wiedzy zastąpić potrafią. Paracelsus przyjmuje dobrą radę i zaczyna od sławy. Dla zdobycia jej zostaje profesorem w Bazylei, ale na stanowisku tem dał się poznać bardziej z szarlatanizmu, niż z umiejętności i inteligencyi, za co też wypędzono go z miasta. Wówczas przechodzi do miłości i stawia sobie za cel „używać nadal w tym samym stopniu, co i poznawać" — jaki on umiarkowany, ten Faust, nieprawda? Marne też są jego miłostki. To wymacerowany śledź, któremu, rozumie się, ani o nauce, ani o sławie, ani o użyciu niema co marzyć. Przechodzi jeszcze lat 12 i znajdujemy naszego bohatera w Salzburgu, umierającego. Tutaj nareszcie Paracelsus odkrył odpowiednią dlań filozofię, poznał „i ludzkość i prawdę." Przyznaje więc, iż całe jego życie było błędem; wszelkie dążenia i zapały — to głupstwa. Nie trzeba było tracić czasu na szukanie ideałów (lecz siedzieć za kantorem kupieckim i sprzedawać pieprz — dodajmy od siebie). Nie trzeba było zbyt wiele wymagać od ludzi: „Serce moje — mówi on — nie było dość rozumne, by przyznać, że nawet nienawiść ludzka jest maską miłości, aby widzieć dobro w złem i nadzieję w niepowodzeniu, aby sympatyzować we wszystkiem z bliźnimi, być zadowolonym z ich niedorzeczności, drobnych dążeń, ubogich złudzeń, przesądów, trosk i wątpliwości" — wszystko to bowiem w boskiej harmonii świata jest koniecznem. „Tego ja nie wiedziałem i oto czemu spotkało mnie niepowodzenie"— taki jest ostateczny wniosek Paracelsusa. Nas dziwi tylko to, czemu on tej błogiej filozofii tak długo nie spostrzegał. Wogóle zaś czyni Paracelsus wrażenie zwichniętego filisterka, który chybił swego naturalnego zadania: zyskownej karyery, ożenku z sutym posagiem i kupy dzieci. Ale w najlepszym ze wszystkich światów wszystko dzieje się jaknajlepiej a każdy filisterek kończy tak, jak mu skończyć w danej sytuacyi należy. Wprawdzie Paracelsus nie zdążył zastosować w życiu swej filozofii, ale przynajmniej pozostawił ją potomności — za co godzien umieszczenia w Westminsterze.

Browning w utworach swych mało zwraca uwagi na historyczne prawdopodobieństwo. W jednym np. z dyalogów przyjmują udział: król Dawid, sam autor i Renan, przyczem ten ostatni wyraża się językiem ciemnym i zaplątanym, znajdującym się w uderzającej sprzeczności z przejrzystym stylem znanego filozofa. Browning używa wszystkim bez wyjątku nietylko swego zagmatwanego stylu, ale zarazem i drobnomieszczańskiej filozofii. Umieścił ją w duszy greka Kleona, araba Karchisha itd., a trzeba wiedzieć, że bierze on tematy i osoby z najrozmaitszych miejsc i czasów. Są tu: Ateny starożytne, Rzym pogański i chrześciański, średnie wieki, Odrodzenie, czasy nowe. Bohaterów zaś swych bierze z Wenecyi, Rosyi, Persyi, Normandyi, Syryi, Arabii itd. Bohaterowie ci — to zwykle sam autor, który, poprzebierany w najrozmaitsze kostiumy, kręci się po scenie i deklamuje stylem „orakularnym" o stanie swej duszy — często też chóry go zastępują. Rozumie się, iż o charakterystyce osób, odpowiadającej najskromniejszym wymaganiom „analizy psychologicznej," mowy tu być nie może. I dlatego większa część niezliczonych dramatów Browninga — zawartych w dwudziestu kilku tomach— to płody poronione. Nie ma w nich ani akcyi, ani żywych osób, ani głębszych i oryginalnych myśli. Dodajmy nareszcie, iż forma zewnętrzna jest, zdaniem wszystkich, stroną najsłabszą jego utworów. Wprawdzie wierni jego uczniowie pocieszają się tem, że Göthe miał gdzieś, kiedyś powiedzieć, iż ważną jest dla poety rzeczą, aby był niepojęty i wskazują nawet, jako przykład, drugą część *Fausta*. Możnaby tu śmiało zastosować przysłowie: „Quod licet Jovi..." Istotnie „orakularny" styl zwykle służy u niemieckiego mistrza za formę dla nadzwyczaj głębokich i oryginalnych pomysłów, tymczasem z gęstych ciemności stylu Browninga nigdy nie wystrzeli ani jedna iskierka geniuszu. Dodajmy, iż wierszowanie jego jest okropne, a rymy— koszlawe, a będziemy mieli pojęcie o formie zewnętrznej. Jeden z krytyków angielskich mówi pod tym względem: „Jeżeli Browningowi udało się kiedykolwiek napisać zdanie harmonijne i obrazowe, to natychmiast, jakby żałując tego, dodaje wiersz najbardziej ciemny i chropawy."

Oprócz dramatów pisywał Browning i wiersze liryczne — nie przedstawiają one wszakże nic godnego uwagi. Przed samą śmiercią puścił on w świat tomik zatytułowany: *Asolando* (*Fancies and facts.*) Są to przeważnie wiersze erotyczne. Śmiać się trzeba, gdy czytamy, iż ośmiodziesięcioletni ten starzec, stojący nad mogiłą, uważa, że największe szczęście w życiu polega na „pocałunku dziewczyny" (Summum bonum"). W innem miejscu zbiorku autor opowiada nam, jak miłość jego przeżyła obelgę (White Witchcraft"), a nawet — pęknięcie serca (Bad dreams"). Wogóle „Asolando" nie dodaje ani jednej nowej nuty do poprzednich poezyi Browninga.

Leon Winiarski.

LITERATURA POLSKA.

Wincenty Kosiakiewicz: *Druty telegraficzne.* Warszawa, 1890.

Trudno mi rozwodzić się długo nad zbiorkiem nowel p. Kosiakiewicza, które mają tę właściwość, że nie wzbudzają w czytelniku obfitego i trwałego wątku myśli, a morały na temat nadprodukcyi nowelistycznej — znudziły. Słusznie autor nazwał te swoje dzieci duchowe *Drutami telegraficznymi.* Są one istotnie nieco podobne do drutów, bo i mają ich sztywność, i tak samo jak tamte czepiają się słupów reklamy, tak samo izolowane od powszedniości, tu i ówdzie ozdobione wróbelkiem banalnym, który tak dobrze zna tę swoją grzędę, że mu nie zdarzy się chyba połamać skrzydełek, jak ptaszkowi w tytułowej nowelce p. K. Ale jest i pewna różnica. Po drutach telegraficznych bieży utajona iskra wstrząsającej elektryczności, po prętach zaś autora płynie powolny a nieprzerwany potok łatwego, lecz bezbarwnego — gawędziarstwa. Nie chcę tem ubliżać formie nieraz artystycznej, zwłaszcza tam gdzie występuje indywidualność autora. O stylu jego niepodobna powiedzieć „ex ungue leonem..." A szkoda, bo p. K. miewa niezłe pomysły, które odziane w oryginalniejszą szatę artystyczną i opromienione szerokim polotem myśli, mogłyby mieć donioślejsze znaczenie w naszej beletrystyce, niż mają, spełniając rolę wiecznie przesypującego się piasku w odcinkach, tych klepsydrach żywota polskich pism codziennych... Ale na to potrzeba innych warunków, niż może dać twórczość nowelistów wyszrubowanych tylko korbą redaktorską, lub, co jeszcze gorsza— walką o chleb... Pomysły zaś p. Kosiakiewicza bywają bardzo wdzięczne, należycie zaś wyzyskane mogłyby urość do rozmiarów powieści społecznej. Mam na myśli nowelę p. n. *Bogaci wujostwo.* Jednej z panien Szperkowskich poszczęściło się wyjść bogato za mąż za zamożnego rzeźnika, mającego przytem dużą kamienicę w Warszawie, dla drugich los świata mieszczańskiego był mniej łaskawym: powychodziły w rodzinnem mieście Kaliszu, jedna za szewca, druga za woźnego sądu okręgowego, trzecia najgorzej, bo za młynarza. Wszystkie pokrzywdzone przez dolę zazdrościły szczęśliwej Maryni. Stokrotnie musiały na to się zgodzić, że „teraz na świecie nie znaczy ani piękność, ani dobroć, tylko pieniądze lub szczęście." Najpiękniejsza z sióstr, pani woźnina, klepała biedę. Z czasem jednak, pogodziwszy się z rzeczywistością, przestały jej zazdrościć i z zamiłowaniem opowiadały kumom o bardzo bogatej a bezdzietnej siostrze w Warszawie. Staś, najstarszy syn woźnego, chciwie przysłuchiwał się tym opowiadaniom w otoczeniu pełnem niedostatku domu rodzicielskiego, „bogatych wujostwo" przywykł uważać za ideał niedościgły. Było to olśniewające przeciwstawienie do jego rodziców, w ciężkiej pracy żyjących. „Kamienicę... wujostwa, tę sławną legendową kamienicę, wyobrażał sobie jako miejsce ubłogosławione wszelkiemi dobrami ziemskiemi, których brak tak często odczuwał... Musiało tam być tak dobrze, jak w raju samym... Nie znał on ani wuja, ani ciotki, bo nie przyjeżdżali oni do Kalisza; ale poznać tych sławnych ludzi, o których tyle słyszał od matki i ciotek, było gorącem pragnieniem jego duszy." Z tym ćwiekiem w głowie wzrastał i rozwijał w sobie odpowiednie pojęcia i uczucia etyczne. Skończył szkółkę elementarną, preterminował sześć lat u piekarza, jako czeladnik, uzbierał trochę pieniędzy i udał się do Warszawy. Dom wujostwa, jak i oni sami zaimponowali mu. Dostał robotę w piekarni i co niedziela odwiedzał wujostwo. Całemi godzinami przesiadując z nimi, najczęściej milczał i wpatrywał się w nich, krzepiąc ich atmosferą sknerstwa i chciwości mieszczańskiej swego ducha. A potem znów cały tydzień pracował do upadłego, dostając za niezwykłą wydajność siły roboczej większe wynagrodzenie od przesiębiorcy. Ciułał i z nadmiernych wysiłków nad wiek staro wyglądał, będąc lubianym przez pracodawcę a niecierpianym — przez towarzyszów. Przyjemności życiowe dla niego nie istniały. Za to miał dużo oszczędności, które oddawał na przechowanie ciotce, ciągle pobudzany do wytrwania na obranej drodze cnoty mieszczańskiej — przez ciotkę. Teraz ideałem jego było, dzięki radom wujostwa, wrócić do Kalisza, założyć tam piekarnię, ożenić się z rządną a posażną „panienką uczciwą," a potem dożekać się odwiedzin wujostwa. Stało się według jego marzeń. Założył piekarnię, odtrącił rodzoną matkę, która się domawiała o pomoc dla siebie i reszty jego rodzeństwa, ożenił się z dziewczyną, która mu wniosła domek z dwoma morgami gruntu, dwie krowy itd. Ubierał się tak samo jak wuj, w długi surdut za kolana i cylinder. Ostatnie jego pragnienie spełniło się: wujostwo go odwiedzili i dali mu błogosławieństwo na dalszą drogę żywota mieszczańskiego. Ale cóż? Po spełnieniu wszystkich swoich pragnień, Stach poczuł straszliwą pustkę w duszy — cel, jedyny cel w życiu osiągnął. Dalej zabrakło mu podniety, zaczął pić, z początku po dwa kufle, potem po trzy co wieczór, a teraz — już po cztery. Gdyby p. Kosiakiewicz umiał wniknąć głębiej w mieszczańską psychologię tworzenia kapitałów, przekonałby się, że wujostwa, taki wielbiciel „bogatych wujostwa," przebywszy z amatorstwa podobną tresurę dłu-

goletnią, tak łatwo nie szuka celu w potrojonej liczbie kufli: pije w dalszym ciągu piwo i nie przestaje znajdować przyjemności w oszczędzaniu, tem bardziej, że znajduje bodziec w dzieciach i może już czerpać „oszczędności" nie z własnej siły roboczej, lecz nadpracy cudzej... Za zasługę poczytać muszę p. K., że noweli swoich nie podlał mdłym sosem morałów. Obrazek jego *Pan sędzia poluje* wyróżnia się z rzędu innych staranniejszem, pełnem poezyi obrobieniem artystycznem.

Zyg. Piet.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Bestye odkryte w ludziach przez Nordaua. — Walka byków w Paryżu. — Wyścigi angielskie. — Uroczysty wjazd czworonożnego bohatera. — Jednogarniturowi naśladujący wielogarniturowych. — Ludzie którzy noszą wesołość i zabawę w sobie. — Po co do nas przyjechał anglik — Najnowsza etyka Prusa. — Walka o byt i cele życia.— Wymiana usług między p. Piltzem a p. Szymańskim. — Do Friedrichsruh.

Słynny autor *Konwencyonalnych kłamstw*, opisując nowowprowadzone do Paryża igrzyska na wzór hiszpańskich walk byków, powiada w swej korespondencyi: „Ani jedno barbarzyństwo przeszłości, ani jedna zwierzęcość ludzi pierwotnych nie została pokonaną i wykorzenioną; wszystkie one żyją dalej, utajone, milczące i zdrobniałe, ale tylko dopóty, dopóki ściska je obroża prawa a obyczaj przechadza się przed kratami ich klatki z rozpaloną sztabą żelazną. Skoro tylko uczujemy się bezpieczni i usuniemy straż, bestye dobywają się na zewnątrz i tryumfująco wyciągają swoje straszliwe członki na słońcu naszego sławnego stulecia postępu... Wkopmy się nieco w głąb naszego życia duchowego a znajdziemy w niem wszystkie krwawe i lubieżne instynkty dzikich. Jedynie prawo i obyczaje przeszkadzają nam wrócić do okropności wieków minionych. Chęci do cofnięcia się wcale nam nie brak, i niech tylko zwierzchność pozwoli, a z fanatyzmem tłoczyć się będziemy na widowiska ludożercze, im bardziej ludożercze, tem lepsze." Łaknącym też zysku kapitalistom M. Nordau rzuca pomysł, ażeby porozumiawszy się z królem Dahomeyu, gdzie dotąd corocznie setki ludzi giną na ołtarzach ofiarnych, wydzierżawili od niego te rzezie i przewozili na nie europejczyków.

Ostatnie wyścigi (Derby) angielskie dostarczyły swym uczestnikom niebywałych wzruszeń. „Faworyt," sławą okryty Shurefoot, którego zwycięztwo przepowiadano we wszystkich pismach i którego „obstawiono" zakładami w stosunku 95 przeciw 40, został pobity przez Sainfoina, narażywszy swych wielbicieli na nieobliczone straty. Drugie miejsce u mety otrzymał dostojny Le Nord, który przybył z Francyi osobnym pociągiem i umyślnie wynajętym statkiem. Pomimo że deszcz wylewał się z chmur rzekami, całe wyższe towarzystwo Anglii przybyło na wyścigi i z drżeniem serc, zawsze uderzających czcią i miłością ku gieniuszom, przypatrywało się popisowi czworonożnych bohaterów, używających dziś największej chwały i znaczenia śród ludzkości. Żadna matka człowiecza nie urodziła nigdy syna, któryby swą wartością dorównywał znakomitemu folblutowi, któregoby przybrany ojciec wiódł na występy publiczne osobnymi pociągami i statkami, z którym każda kobieta uważałaby za zaszczyt mieć potomstwo, którego zarówno podziwialiby wszyscy. Śpiewacy i koncertanci osiągnęli dotąd najwyższe zarobki za swe występy; ale czy był kiedykolwiek na świecie tak szczęśliwy, któryby za jeden występ otrzymał sumę zbliżoną do nagrody Derby lub *grand prix*? Czy wy możecie pojąć tę ironię, z jaką Shurefooty i Sainfoiny oglądaliby dramaturgów i komedyopisarzów, zdobywających z listkiem wawrzynu na konkursach 150 lub 300 rs. za swe utwory, gdyby naturalnie z swych dostojnych kopyt mogli dojrzeć tak małe robaczki?

Jeżeli tedy w Paryżu „la bête humaine"— jak nazywa Zola, lub „Urbestie" — jak nazywa Nordau— nasyca się wrażeniami walki byków, jeżeli Europę objeżdża kat, który śród tłumu słuchaczów miewa odczyty z „doświadczeniami," jeżeli w Anglii koń Sainfoin przewyższa chwałę Tennysona, mamyż się dziwić naszym „sportsmenom," urągającym ulewie dla zobaczenia własnemi oczami, który koń na polu Mokotowskiem wprzód do mety przybiegnie? Trzeba być sprawiedliwym. Wprawdzie ci nasi „sportsmeni" mają nieraz tyle „gumy" ochronnej przeciw deszczowi, ile na kalosze potrzeba; wprawdzie często nie posiadają oni nawet drugiego ubrania i butów na zmianę po przemoknięciu; wprawdzie niejeden z nich musi wyrzec się obiadu lub długo błagać matkę i ciotkę o pieniądze na kupno biletu wejścia (nawet nie siedzenia); ale wszystko to naprzód wcale nie dowodzi, ażebyśmy nie byli krewniakami narodów wysoko ucywilizowanych i nie mieli prawa do szlachetnych rozrywek a powtóre pamiętać trzeba, że braki zapasowych spodni, koszul, butów i pieniędzy wynagradza nam z nadwyżką nadzwyczajna obfitość dobrego humoru. „Szczęśliwy — powiada sprawozdawca *Kuryera codz.* z wycieczki wioślarzów do Jabłonny — kto nosi zabawę i wesołość w sobie." Tak, my je nosimy w sobie. To też jeżeli i bogaci lordowie, posiadający dostatek garderoby, pojechali na Derby w ulewę, to nic dziwnego; ale gdy nasi wioślarze śród potoków deszczu bawili się wybornie, to dopiero jest prawdziwa „dzielność" i dowód zadowolenia z życia. Najzupełniej wierzę temu, że pewien anglik, zasłyszawszy, jaką oni a zresztą my wszyscy nosimy „zabawę i wesołość w sobie," przyjechał umyślnie dla sprawdzenia owego szczęścia własnemi oczami i przyjął udział w wycieczce do Jabłonny. Byłby on wprost potwarcą, gdyby po powrocie nie opowiedział rodakom, że patrzył na rzeczy, o których nawet filozofom się nie śniło.

Jeżeli ów anglik — jak twierdzi sprawozdawca *Kuryera*— podziwiał dowcip jednego z wioślarzów, przebranego za handlarza, to zapewne rozumie po polsku i czytał kronikę Prusa. W takim razie będzie on mógł objaśnić swoich ziomków, że nad Wisłą istnieje naród, który nietylko „nosi wesołość i zabawę w sobie," ale przytem posiada „ultra-liberałów," którym moralność „wydaje się rzeczą zbyteczną" oraz znakomitego powieścio-pisarza, który dowodzi, że kradzież, oszustwo, rozbój i wszelkie występki są usprawiedliwiane w „prawidłach nowej etyki" walką o byt, że—według niego—tylko „głupcy i szarlatani" widzą w tej walce prawo natury, że takiem prawem życia jest raczej „wspieranie i wymiana usług" — „stopniowe doskonalenie się." Na ojczyznę teoryi Darwina to „prawidło zdrowego rozsądku" padnie niewątpliwie promieniem słonecznej mądrości. Wyznaję, że i ja zawdzięczam mu rozwidnienie się mroków mojej ciemnej głowy. Nie słyszałem bowiem dotąd o takich „ultra-postępowcach," dla których moralność byłaby „rzeczą zbyteczną;" nie słyszałem o takiej „nowej etyce," któraby usprawiedliwiała wszelkie zbrodnie walką o byt; nie przypuszczałem wreszcie, że ta walka, którą tyle narodów uważa za zadanie swego życia, jest tak zdrożną. Zdawało mi się, że zarówno twory przyrody, jak i ludzie nie mają jednego celu, będącego wyłączną przyczyną ich objawów i sprężyną działań, lecz posiadają rozmaite, szczegółowe, czasowe cele, między którymi znaleźć się może także walka o byt. Bogowie chyba tylko z Prusem wiedzieli, że jeśli mnie napastuje zbój lub grabi rabuś, to ja nie powinienem w obronie zapominać o „doskonaleniu się," że jeśli miliony innych ludzi są w podobnem położeniu, to również nie powinni słuchać „szarlatanów," głoszących, że walka o byt jest dla zagrożonych najbliższym celem. Nowonawróconemu wolno wiele nie wiedzieć i o wiele pytać. Otóż niech mnie szanowny pogromca „ultra-postępowców" łaskawie pouczy: jak się ma dokonywać „wymiana usług" pod wzniesioną maczugą lub przyłożonym do piersi rewolwerem? Czy ona ma polegać na walce o byt, tj. na odpieraniu wroga, czy też na „wspieraniu" go? Pytanie to jest ważnem dlatego, że — niestety — na świecie daleko więcej uwija się „bestyj" Nordaua, niż ideałów „prawdziwej moralności" Prusa. Skoro zaś nie jednostki, ale miliony rozwiązywać muszą zagadnienie swego bytu, to trzebaż im poradzić, w jaki sposób mają, bez obrażania najnowszej etyki, dopełniać „wymiany usług," które grożą ich istnieniu. Prus nas pociesza, że nawet „sama śmierć jest niczem więcej, tylko zwróceniem ziemi tych pierwiastków, których ci na budowę twego ciała pożyczono;" wątpię wszakże, czy on sam nie rozpocząłby walki o byt z kimś, ktoby mu chciał pomódz do „zwrócenia ziemi tych pierwiastków, których ona mu na budowę ciała pożyczyła." Może nie całkiem pozbawioną jest sensu teorya, według której „cele" przyrody należy wywnioskowywać z jej procesów i objawów *a posteriori* a nie narzucać ich jej *a priori*. Otóż — o ile dotąd zbadano— najpowszechniejszem pragnieniem wszelkich tworów natury a więc i ludzi jest dążność do utrzymania się przy życiu, instynkt samozachowawczy, który wobec tamujących go warunków musi prowadzić do walki o byt. Walki tej Darwin nie wymyślił i nie wynalazł, ale ją odkrył w całej przyrodzie i dlatego nazwał prawem.

Nieszczęściem wszelkich teoryi naukowych są beletryści zwłaszcza francuscy, z niezmiernie rzadkimi wyjątkami ludzie myślący płytko. Daudet w osobie szachraja życiowego upostaciował słynną zasadę Darwinowską; jego *Walkę o byt* przedstawiono w naszym teatrze, więc na podstawie wątku tej (dość lichej) komedyi zaczęto wysnuwać rozmaite wnioski przyrodniczo-moralne. Wygląda to tak, jak gdybyś na breloku przy dewizce, naśladującym trupią główkę, chciał wykładać anatomię czaszki lub fizyologię mózgu.

Pomiędzy p. E. Piltzem, redaktorem *Kraju*, a p. A. Szymańskim, znanym powieściopisarzem, nastąpiła „wymiana usług." P. Piltz, człowiek w wysokim stopniu lekkomyślny, ze wszystkich właściwości Achillesa posiadający tylko jego pięty a mimo to odbywający surowe sądy nad innymi w imieniu moralności społecznej, oskarżył p. Sz., że ten w drugim tomie swych *Szkiców* wprowadza do umysłów „bierność, poddanie się losowi i inne równie niepożądane rzeczy," że ostrożnie podsuwa czytelnikom „teoryjkę o marności etyki zachodniej" i że swoje ideały czerpie ze źródeł wschodnich. Naprzód wogóle plamienie charakteru pisarza znamionami stworzonych przez niego artystycznie postaci jest rzeczą w krytyce nieprzystojną; powtóre p. Sz. w drugim tomie swych *Szkiców* (jak czytelnicy wkrótce o tem się przekonają) żadnej zarazy moralnej nie sieje, a potrzecie grunt etyczny obecnych jego utworów niczem się nie różni od gruntu poprzednich, którym *Kraj* z pokłonem i wiwatami otwierał swe kolumny. Ani tedy p. Piltzowi, ani redaktorowi *Kraju*, ani krytykowi nie wypadało w ten sposób piętnować autora. Nic też dziwnego, że p. Sz. uczuł się pokrzywdzonym i że odparł cios tem odbiciem, które w pojedynkach

polemicznych z p. Piltzem zwykle bywa używane. „P. Piltz — pisze on w *Wieku*— waryatem nie jest, o czem wie każdy, jest jednak człowiekiem nieuczciwym, o czem jeszcze nie wszyscy dostatecznie są przekonami... On woli wymysły, z którymi się otrzaskał i które mu zresztą do twarzy; zmilczawszy więc wtedy, udaje teraz, że nie zrozumiał mojej etyki w „Hanusi," jakkolwiek ja szczerze myślałem, że przedewszystkiem on, jako człowiek zabiegły, wdzięcznym mi za taką etykę będzie... Nie dotykaj pan tego — woła w końcu — czego mi zabrać nie możesz, choćbym nie żył i bronić się nie mógł. Nie weźmiesz mi pan nic, a siebie obrzucisz nowem błotem i w dodatku takiem, którego nawet i trochę przytępione sumienie społeczne nie... lubi." W ostatniem zdaniu tkwi nieco przesady, bo p. Szymański nie przedstawia takiej nietykalności, której obraza mogłaby stanowić najwyższy stopień przewinień p. Piltza; cała wszakże odprawa jest wyrazem oburzenia słusznego i byłaby dla redaktora *Kraju* pouczającą, gdyby on na swoich doświadczeniach się uczył. Niestety, objawia on wobec nich dziwną niepojętność, czego wielce żałować należy, nie ze względu na niego (pozostawmy mu swobodę gustu), ale ze względu na jego pismo, które nie będąc nawet tem, czem z zabawną fanfaronadą się mieni, mogłoby spełniać poważną i użyteczną rolę, a dzięki nietaktowi swego kierownika służy za tarczę dla wzgardliwych grotów.

Zamiast wyściełać autorom łóżka pokrzywami i parzyć się samemu, powinienby p. Piltz zużytkować swój talent właściwiej i wyjednać sobie rozmówkę u ks. Bismarka, który w przyjmowaniu dziennikarzów przestał być wybrednym, a w wynurzaniu się przed nimi wstrzemięźliwym. Pomijając wartość takiego „interviewu" dla *Kraju* (p. Piltz lepiej ją rozumie ode mnie), należałoby istotnie dowiedzieć się, jakie powody miał „żelazny książę" do wygnania 30,000 niewinnych ludzi z dzielnic prusko-polskich. Dotąd bowiem — jak wyznaje prasa niemiecka — pozostaje to tajemnicą, którą wartoby odsłonić. A zatem, pożegnawszy gniewną miną p. Szymańskiego — do Friedrichsruh!

Poseł Prawdy.

Z D A L A.

„Kustarstwo" ruskie. — Dążność do podniesienia poziomu techniki rolniczej śród włościan. — Najnowsze szczudła dla drobnej własności ziemskiej. — Pleszkow, jako symbol. — *Baltische Hilfsverein.* — Najskuteczniejszy środek. — Nadpodaż rąk najemnych.

Wiele dziś polityka ekonomiczna robi dla wielkiego przemysłu w Rosyi, ale nie chce też być w długu i względem drobnego. W marcu 1888 r., na mocy Najwyżej zatwierdzonego zdania, postanowiono w ciągu pięciu lat corocznie oszczędzać po 35,000 rs. na popieranie „kustarstwa." Artele, tulska i wotkińska, zyskały urzędowy rynek zbytu w postaci zamówień ministeryum dóbr państwa. Nie dość tego, w niedalekiej przyszłości, jak twierdzi *Deń*, mają być mianowani *starostowie kustarni*, których zadaniem będzie doskonalenie techniki drobnoprzemysłowej i popieranie rozwoju małej produkcyi przetwórczej. Wskazówką kierowniczą w tej mierze musiałby być materyał statystyczny, zdobyty w ciągu kilkudziesięciu lat badań. Literatura ruska w tym zakresie jest tak bogata, że zachodnia Europa, inicyatorka prądu drobnoprzemysłowego, pochwalić się równą nie może, nasi zaś „drobnoprzemyślnicy" ducha by wyzionęli, gdyby na ich głowy spadł grad tomów odnośnej statystyki. Jedno ziemstwo moskiewskie np. poświęciło „kustarstwu" całej gubernii aż 6 tomów, lecz najwięcej na tem polu zasłużyła się komisya do przemysłu drobnego: wyniki jej badań obejmują 15 tomów. Jest to najdrobiazgowszy opis nietylko najróżnorodniejszych gałęzi przemysłu wszystkich krańców Rosyi, ale zarazem materyał porównawczy. Przyszli „starostowie" jednak, idąc tam po wskazówki, zgubią się w tym lesie faktów. Dlatego też przezorny *Deń* dobrze radzi ministeryum, żeby dopomogło do wydania podręcznika 2—3-tomowego, dostępnego nietylko dla przyszłych zawiadowców „kustarstwa," lecz i dla szerszej publiczności.

Podjęte w ostatnich czasach próby rozpowszechnienia śród ludności wiejskiej sadownictwa, ogrodownictwa, jedwabnictwa, oraz innych gałęzi przemysłu rolnego wypadły świetnie. Głównym środkiem były elementarne szkoły ludowe, przy których w tym celu, z udziałem instytucyj miejscowych i osób prywatnych, zakładano szkółki owocowe, sady, plantacye jedwabnicze itp. Ale rozwojowi tej sprawy stoi na przeszkodzie brak nauczycieli, dostatecznie obeznanych z gospodarstwem wiejskiem. Dla zapobieżenia tej niedogodności minister dóbr państwa wyjednał pozwolenie na otwieranie w miesiącach letnich — kursów bezpłatnych w zakresie niektórych gałęzi gospodarstwa wiejskiego. Celem ich ma być wykształcenie świadomych rzeczy instruktorów włościańskich. Otwierane one będą przy specyalnych instytucyach ministeryum i istnieć mają, rodzajem próby, trzy lata. Na kursy przyjmowani będą, w miarę możności, nauczyciele ludowi i wychowańcy seminaryów nauczycielskich oraz inne osoby wydziału naukowego. Inni zaś kandydatami do kursów mogą zostać za szczególnem zezwoleniem departamentu rolnictwa i gospodarstwa wiejskiego. Nauczanie ma być dwojakie: teoretyczne i praktyczne. Na pierwsze przeznaczone będzie od 3—12 godzin tygodniowo, na praktyczne zaś zajęcia i pogadanki nie mniej niż 6 godzin dziennie wypadać będzie. Kierownicy kursów dostawać będą wynagrodzenie z sum departamentu rolnictwa i gospodarstwa wiejskiego, w wysokości 150 rs, miesięcznie.

Jak wiadomo, jeszcze w zeszłym roku przy ministeryum spraw wewnętrznych założono pod kierownictwem senatora Plewego komisyę do wypracowania środków zapobiegających epidemicznemu wywłaszczaniu przez kułaków, skupiających w swoich rękach ziemię. Otóż obecnie, jak donoszą *Moskowskija Wiedomosti*, komisya ta ukończyła swoje prace nad tem zagadnieniem.

Swiet, niestrudzony tropiciel intrygi i wrogich światu słowiańskiemu zamiarów, odkrył w Berlinie kolebkę z noworodkiem emigrantów nadbałtyckich, imieniem *Baltische Hilfsverein.* Instytucya ta upodobała sobie maskę filantropii, ale właściwą twarz ma — polityczną. Celem jej ma być popieranie odrębności niemieckiej w kraju nadbałtyckim, jak wiadomo, podporządkowanym obecnie w zakresie wychowania publicznego i sądownictwa interesom państwa. Idzie tu o podtrzymanie za pomocą pieniędzy i broszur protestantyzmu, kultury rodzimej i ducha niemieckiego.

Och, ten ich duch! Mądry on jest— obrał sobie szkołę i hypnotyzuje dzieci pod gościnnym dachem państwowym — w kierunku odrębności narodowej. Korespondent wołyński *Dniewnika warszawskiego* utrzymuje, iż wina to władz. Szkoły niemieckie na Wołyniu należą do rzędu ministeryalnych, kończący je korzystają wobec służby wojskowej z takich samych ulg, jak ci, co ukończyli szkoły ludowe. Tymczasem w tych ostatnich nauczycielami są osoby, które wyszły z seminaryów pedagogicznych lub ci, którzy pozdawali wymagane egzaminy na nauczycieli ludowych; nauczycielami zaś w szkołach niemieckich są ludzie mało obeznani z językiem niemieckim a zupełnie nieznający ruskiego, czyli tacy, którzy nie mają prawa nauczać. Wprawdzie ministeryum uznało za niezbędne dopuścić do seminaryów pedagogicznych młodzież z kolonistów wyznania luterańskiego. Dla przygotowania się zaś do seminaryów pozwolono dzieciom miejscowych niemców uczęszczać do miejskich szkół dwuklasowych. Zdawałoby się, że sprawa jest na dobrej drodze, ale nie tak to widzi korespondent. Najprzód wątpi, czy niemcy zechcą swoje dzieci do pomienionych szkół i seminaryów oddawać, a powtóre, jeśliby zechcieli, to nauczyciele otrzymani w ten sposób z niemców zaczną działać w myśl dobra państwa dopiero za jakie 10—12 lat, licząc od roku bieżącego, w którym właśnie władze uwiadomiły kolonistów o tem życzeniu ministra. Cóż będzie z niemieckiemi szkólmi w obecnej postaci do tego czasu? „Wyjście, naszem zdaniem — powiada korespondent — jest tylko jedno: teraźniejsi nauczyciele w szkołach niemieckich niezwłocznie winni albo zdać egzamin na nauczycieli ludowych, albo opuścić zajmowane miejsca. Jeżeli niema przez kogo zastąpić tych, którzyby nie zdali egzaminu, to lepiej na pewien czas pozamykać te szkoły, aniżeli pozostawiać w dotychczasowym stanie. W szkołach ministeryalnych nie mogą zostawać nauczycielami koloniści niewykształceni. Ci, którzy istotnie mogą być nauczycielami, zdadzą egzamin i pozostaną nimi, resztę należy usunąć lub zastąpić ruskimi, albo też szkoły zamknąć. Tak czy owak, a skończyć z tem koniecznie należy; nie można przecież pozwolić, żeby w szkołach ministeryalnych wychowywały się wrogie dla nas żywioły i szkodliwi członkowie społeczeństwa."

Południowe gubernie Rosyi nie mogą się uskarżać tego roku jak i lat poprzednich na brak rąk roboczych. Pisma przepełnione są wieściami o napływie w tamte strony najmitów wiejskich. Szczególnie dużo zbiegło się w Kachówce (gub. taurycka), gdzie w początkach maja bywa jarmark i zwykle dokonywa się najem rolników. Większość z nich pochodzi z gubernij: mohylewskiej, połtawskiej, czernikowskiej i w części z kijowskiej. Miejscowi starzy ludzie nie pamiętają jeszcze takiego napływu robotniczego. Ale smutny ich los. Napłynęli w nadmiarze, złe urodzaje, powodujące zwężenie warsztatu pracy u roli, jeszcze bardziej czynią ich zbytecznymi tam. Dwa razy więcej ich przyszło, niż w roku przeszłym. Jedni więc musieli się ponajmować do t. z. „Pokrowu" (1 października starego stylu) za 25—45 rs., inni po 10—12 dniowej nużącej wędrówki, wydawszy ostatni grosz i zdarłszy obuwie, muszą wrócić z niczem do domu, żebrząc po drodze. *Krymskij Wiestnik* utrzymuje, że właściciele ziemscy powściągali się od najmu, chociaż w czasie jarmarku spadły deszcze, mogące dodatnio wpłynąć na posiewy. Ogólna liczba poszukiwaczy zarobku w Kachówce dosięga—40,000! Najęto zaś mniej, niż czwartą część, z reszty niektórzy popowracali do domu, większość udała się dalej na południe i do Chersonu.

Z. Atanazy.

KRONIKA.

Z SĄDU.

Dnia 20 listopada roku zeszłego poruszył Warszawę wypadek niezwykły: z trzeciego piętra domu przy ulicy Złotej wyskoczyła oknem na ulicę 14-letnia dziewczynka, Antonina Zołotnicka, córka lekarza wojskowego, która dzięki osłabieniu siły spadku przez zaczepienie się o balkon i latarnię nie uległa natychmiastowej śmierci, lecz tylko silnemu pokaleczeniu. Doraźne zbadanie wypadku wykazało, że jego przyczyną był zamiar samobójczy dziecka tyranizowanego przez rodziców i zagrożonego chłostą. Przeprowadzone

śledztwo ujawniło szereg okrucieństw i znęcań się. Mieszkańcy domu oraz służący zeznali, że Zołotniccy córkę swoją morzyli głodem, bili, oblewali nieczystościami, trzymali w zimnej wodzie, skazywali na sypianie w kuchni z dienszczykami itd., a ostatniego dnia ojciec miał jej dać 150 rózeg. Dziewczynka chroniła się przed karami do znajomych i nieznajomych, nawet do Czerwonego Krzyża, żebrała o opiekę i litość, nareszcie nie mogąc znieść męczarni, wyskoczyła oknem. Przed sądem wszakże odwołała ona swe poprzednie zeznania; powołani przytem przez Zołotnickich świadkowie zaprzeczyli całej podstawie aktu oskarżenia. Pan adwokat Pepłowski dowodził, że jego klijenci nie przekroczyli w swem postępowaniu granic władzy rodzicielskiej. Zgodnie z jego wywodami sąd oboje oskarżonych uniewinnił.

Szkoły. P. Matylda Zawrocka otrzymała pozwolenie na otwarcie w Warszawie szkółki froeblowskiej dla dzieci 4—7-letnich.

— Ruskie Towarzystwo techniczne wniosło do ministeryum oświaty projekt ustanowienia podatku od fabryk, zakładów naukowych itd. na utworzenie funduszu szkolnego z przeznaczeniem go na kursy wieczorne szkół fabrycznych.

— Kurator warszawskiego okręgu naukowego na zasadzie ukazu z d. 19 kwietnia 1886 r. wydał rozporządzenie, ażeby naczelnicy dyrekcyj naukowych i inspektor szkół m. Warszawy na świadectwach wychowańców 2-klasowych szkół miejskich czynili wzmiankę, iż uczniowie ci mają prawo wstąpienia do szkół technicznych, utrzymywanych kosztem kolei w Królestwie Polskiem, z warunkiem powtórnego składania egzaminu z języka ruskiego i matematyki, w zakresie programu zatwierdzonego dla szkół dwuklasowych miejskich i wiejskich.

— Wychowańcy szkół techniczno - telegraficznych, mający stopień technika I-ej klasy, chcący otrzymać stopień inżeniera telegrafu, podlegać będą egzaminowi. Do dyrektora szkoły powinno być wniesione podanie o wyznaczenie tematu do wypracowania specyalnego projektu, dotyczącego sposobu telegrafowania, budowy i urządzeń telegrafów lub telefonów, albo też nowości i ulepszeń w dziedzinie elektro-techniki. Po wyznaczeniu tematu projekt powinien być wykończony najdalej w ciągu roku i następnie ze zdaniem i poświadczeniem właściwego zarządu lub okręgu pocztowo-telegraficznego, zwrócony na ręce dyrektora szkoły. W razie uznania pracy, kandydat musi bronić swojej rozprawy przed specyalną komisyą w Petersburgu.

— W r. p. ma być zmieniona ustawa, dotycząca egzaminów dojrzałości w gimnazyach klasycznych. Będą wprowadzone egzaminy ustne ze wszystkich przedmiotów kursu gimnazyalnego.

— Ministeryum oświaty wyjaśniło, iż uczniowie 3-ej klasy szkół realnych przy przejściu do 4-ej powinni składać egzaminy ustne z obu języków nowożytnych.

— Przy gimnazyum 2-em w Warszawie wkrótce będzie wykończony specyalny budynek dla ćwiczeń gimnastycznych.

— Stała komisya do spraw wykształcenia technicznego złożyła wykaz książek do bibliotek uczniowskich przy szkołach robotniczych. Przystąpiono już do utworzenia bibliotek przy siedmiu takich szkołach.

— Dr. Stanisław Kostanecki został profesorem chemii teoretycznej i organicznej przy wydziale filozoficznym na uniwersytecie w Bernie (Szwajcarya).

— Nowe gimnazyum czwarte we Lwowie nosić będzie nazwę „gimnazyum Adama Mickiewicza."

Wiadomości społeczne. Z zapisu Tekli Świegockiej rozdzieloną będzie w r. b. suma 428 rs. 58 kop. pomiędzy sześć biednych wdów lub sierot małoletnich po zegarmistrzach. Podania przyjmuje magistrat warszawski do 12 lipca.

— *Graždanin* donosi o projektowanem zawiązaniu prawosławnego bractwa religijno-moralnego, z działalnością na całe Cesarstwo.

— Felczerzy warszawscy, żydzi, udali się do władzy miejskiej z prośbą o pozwolenie utworzenia własnej kasy oszczędnościowej, na ogólnych zasadach. P. prezydent przyjął prośbę przychylnie i wystąpił z przedstawieniem do władzy wyższej.

— Opracowano ustawę dla bezpłatnych czytelni ludowych, które mogą nabywać książki i wydawnictwa peryodyczne, tylko zalecone i przedstawione przez komitet ministeryum oświaty. Wkrótce będzie wydany odpowiedni katalog.

— Projekt utworzenia stałych przytułków noclegowych w Warszawie jest blizkim urzeczywistnienia. Potrzebnych środków dostarczy p. oberpolicmajster z funduszów oddanych do jego rozporządzenia. Plac na budowę gmachu przeznacza bezpłatnie zarząd miejski.

— Podobno w celach oszczędnościowych ma być zmniejszony personel stacyi telefonicznej w Warszawie.

— W „Zbiorze praw" ogłoszono ustawę kasy pożyczkowo-oszczędnościowej w Sieradzu.

— Poruszono sprawę obmyślenia środków, zapobiegających wyzyskiwaniu dzieci przez wędrownych akrobatów, muzykantów itd.

— Zarząd akcyjnego Tow. pożyczkowego w Warszawie, przed wydaniem pozwolenia wydawania ubogiej ludności drobnych kwot (pożyczki kopiejkowe) na zastaw odzieży i przedmiotów użytku domowego, tymczasowo polecił dawać zaliczenia dwurublowe na zastaw tych przedmiotów, z wyjątkiem futer, pościeli i odzieży bardzo zużytej.

— W Poznaniu utworzyła się spółka rolników niemieckich, celem nabywania nowych kolonij.

Sprawy kolejowe. W ministeryum komunikacyi wkrótce będą robione próby z najpraktyczniejszym aparatem do oświetlenia elektrycznego pociągów i toru za pomocą latarni umieszczonej przed parowozem.

— Ministeryum komunikacyi poleciło zarządom tutejszych kolei donosić o wszystkich wakujących posadach inżenierów. Koleje przed nominacyą obowiązane są takich kandydatów przedstawiać do uznania ministeryum.

— Zarządy kolei Nadwiślańskiej i Dąbrowskiej mają wybudować w pobliżu stacyi Iwangród linię w celu połączenia obu torów, dla udogodnienia przejazdu pociągom w Kierunku Łuków-Dąbrowa i Kowel-Dąbrowa.

— Minister komunikacyi złożył w komitecie ministrów projekt sieci dróg podjazdowych do stacyj węzłowych na wszystkich kolejach, o ile ruch w tych punktach przewyższa 500,000 pudów rocznie.

— Komitet ministrów przeglądał w tych dniach projekt połączenia kolei: Kursko-Charkowsko-Azowskiej, Kozłowsko-Woroneskiej i Orłowsko-Griazkiej w jedno towarzystwo „kolei Południowo-Wschodnich."

— Zarząd kolei państwowych opracował nową ustawę kas przezorności dla pracowników kolejowych. Z nowych instytucyj korzystać będą robotnicy, którzy stracili możność pracy wskutek wypadku lub wieku podeszłego.

— Ministeryum komunikacyi zaleciło wszystkim zarządom kolejowym znieść system wyższych kar, a natomiast wydalać ze służby tych pracowników, którzy na kary takie zasłużą.

— Zarząd kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, uwzględniając nadzwyczaj trudne obowiązki służbowe pomocników wagenmajstrów (spinaczy), połączone z niebezpieczeństwem, postanowił dotychczasowe uposażenie ich, 200 rs. rocznie podnieść przez wyznaczenie odpowiedniego dodatku do pensyi, lub podwyższenie etatowego wynagrodzenia do 300 rs.

Komunikacya. Wkrótce wydane będą nowe przepisy o pośredniczeniu w rozdawaniu korespondencyi pocztowej przez zarządy gminne osobom prywatnym i ustanowieniu skrzynek do listów przy zarządach gminnych, które za ich pośrednictwem bez otwierania odwożone będą do najbliższych stacyj pocztowych. Nadto mają być stopniowo organizowane stacye pocztowe w zarządach gminnych, które nie będą mogły przyjmować tylko listów pieniężnych. Pierwsza próba urządzona będzie w gub. czernihowskiej.

— Ma być przeprowadzony telegraf od osady Sumskiej wzdłuż morza Białego przez Kolę do granicy norwezkiej.

— Europejska komisya dunajowa postanowiła przebić nowe ujście rzeki, skutkiem czego bieg Dunaju między Sulimą i Gałaczem skróci się o 8 kilometrów.

Wystawy. Ministeryum skarbu zatwierdziło projekt wystawy środkowo-azyatyckiej, która się odbędzie w Moskwie między 27 września a 27 października r. b.

— Ministeryum dóbr państwa uzyskało kredyt rs. 10,000 na urządzenie wystawy przemysłowo-rolniczej w Taszkencie.

— W Kolonii będzie otwarta w sierpniu wystawa papieru i jego fabrykacyi.

— Międzynarodowa wystawa górnicza otwarta będzie w Londynie.

— W jesieni odbędą się wystawy rolnicze i drobnego przemysłu w Borysoglebsku i Jekaterynosławiu.

— W Kazaniu otwarto wystawę etnograficzną i przemysłu wołzko-kemskiego.

Wiadomości administracyjne. Minister spraw wewnętrznych zatwierdził projekt zreformowania policyi miejskiej i wiejskiej w Królestwie Polskiem, na wzór ogólnej organizacyi w Cesarstwie.

— Ministeryum spraw zewnętrznych opracowało projekt sądów konsularnych w dwóch instancyach: pierwszą stanowić będzie sam konsul, drugą — konsul i radcy konsulatu. Najwyższą instancyę ma stanowić rada, złożona z konsulów generalnych. Władza sądowa konsulów zrównaną będzie z władzą sędziów pokoju. Projektowana organizacya sądów konsularnych ma na celu ułatwienie przebiegu niektórych spraw i uwolnienie strony od przenoszenia spraw do Rosyi.

Rolnictwo. Zatwierdzono projekt komisyj rolniczych, które mogą być tworzone przy towarzystwach rolniczych i innych pokrewnych instytucyach. Do składu komisyi wchodzą: właściciele ziemscy i urzędnicy administracyjni. Komisye mają się zajmować popieraniem rolnictwa, ogrodnictwa, pszczelnictwa itd.

— Smoleńskie Towarzystwo rozesłało p. Engelharta za granicę, celem zawiązania bezpośrednich stosunków między wytwórcami w kraju a kupcami zagranicznymi.

Termin sprowadzenia zwłok Mickiewicza z Paryża do Krakowa jest ciągle zmieniany i niepewny. Miało to nastąpić 5 lipca, potem 1 lipca, obecnie znowu 27 czerwca, a jak świeżo syn poety uwiadamia w *Kuryerze warsz.* — 30 b. m.

Bibliografia. *Prac filologicznych*, tom III, zeszyt 2.

— Dr. W. Lewicki, *Nasze czy obce żywioły*, str. 89. (O ciekawej tej pracy mówiliśmy szczegółowo w *Prawdzie).*

— J. Berkeley, *Rzecz o zasadach poznania*, przeł. F. Jezierski, str. 150.

— Gamaston, *Fata morgana*, str. 275, Gebethner i Wolff.

— *Wielka encyklopedya powsz. ilustr.*, zeszyt 6.

— Rudolf Falb, *Przewroty we wszechświecie*, str. 323 (z ilustracyami), Gebethner i Wolff.

Zmarli. Otton v. Breitschvert, w Constastadt, historyk cywilizacyi.

— Dr. Henryk Schneebeli, prof. fizyki doświadczalnej w politechnice zurychskiej.

— Henryk Fleige, w Monachium, rzeźbiarz.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Incognito w Bzinie. Organem skarg na opieszałość księży w restaurowaniu kościołów nie może być *Prawda*, ale *Przegląd katolicki* lub inne pokrewne mu pisma. Ukaranie robotnika kolejowego 15-ma rublami za sturublowy podarek w podaniu do zwierzchnika o awans było głównie z tego względu za surowem, że ten biedak nie chciał nikomu ubliżyć, ale zastosować się do zwyczaju.

S. K. „Praca organiczna" oznacza pracę nad rozwojem wewnętrznych sił społeczeństwa.

Stałej czytelniczce. Myśl jasna: trzy kobiety kochają się w jednym mężczyźnie i każda z nich widzi go całkiem inaczej.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Magazyn Mebli
MAKSYMILJANA KALMUS
w Warszawie, Grzybowska 37,
poleca: *Różnego rodzaju Meble, począwszy od najskromniejszych do najwykwintniejszych — stylowych.*
Przyjmuje również zamówienia na kompletne urządzenia mieszkań.

Fabryka i Magazyn Jubilerski
M. Mankielewicza
w gmachu Teatru pod filarami.
W WARSZAWIE.

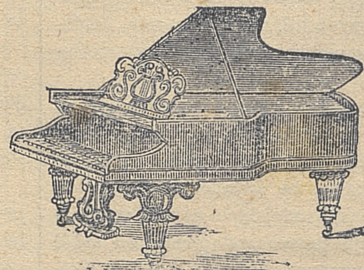
Poleca w największym i jedynym w swoim rodzaju wyborze: Brylanty, Perły i kolorowe kamienie nieoprawne, Biżuteryę brylantową, Biżuteryę brylantową z perłami i kolorowemi kamieniami, Biżuteryę złotą, wytwornej roboty, Biżuteryę złotą tanią, Biżuteryę srebrną; Przedmioty fantazyjne jako to: Bonbonierki, Flakony do perfum, Breloki, Ołówki, Obsadki do piór, Scyzoryki, Noże do papieru itp. **Wyroby srebrne**: Puhary, Karafki do wina, Kubki, Podstawki do szklanek, Kółka do serwet, Przybory dziecinne na pamiątkę chrztu, Wieńce laurowe, Wieńce i drzewka srebrnego wesela, Papierośnice, Portmonety, Woreczki do drobnych pieniędzy, Rączki do lasek i Parasolek. Wszystkie powyższe przedmioty w najnowszych i w przeważnej części gdzieindziej nie powtarzających się modelach.

Ceny najumiarkowańsze.

Newskie  NICI

GEBETHNER i WOLFF
NAJWIĘKSZY W KRAJU
Skład Fortepianów i Pianin

☞ Sprzedaż na raty. ☜



Wynajem instrumentów.

40, Krakowskie-Przedmieście, 40.

MAGAZYN
Ubiorów Męzkich
P. KRĘPSKIEGO
ulica Kotzebue Nr. 11 (Hotel Brühlowski),
w Warszawie.

Kotzebue Nr. 2,
w Warszawie.
Magazyn Ubiorów Dziecinnych
S. Przezdzieckiego
ul. Kotzebue Nr. 2
(róg Wierzbowej).

PERSPEKTYWKI
TEATRALNE I POLOWE
ze szkłami achromatycznemi, oprawne w skórę, kość słoniową, konchę perłową z korpusem niklowym, oksydowanym lub alluminiowym, w wielkim wyborze **po cenach najniższych** w Magazynie Optyczno-Mechanicznym
Juljana Drehera
Szpitalna 6, w Warszawie.
Uwaga. Zakład otrzymuje **stale** binokle i okulary z zagranicznych fabryk w najświeższych fasonach i gatunkach.

Do AMERYKI.
BILETY JAZDY
Holendersko-amerykańskiego Towarzystwa żeglugi parowej
w Kantorze Ekspedycyjnym
MAURYCEGO LUXEMBURGA,
Jeneralnego Ajenta Towarzystwa
w Warszawie, Erywańska 6.
Wszelkie objaśnienia szybko i bezpłatnie.
☞ **Najkrótsza, najszybsza i najtańsza podróż.**

„Na Raty"
Lustra
sprzedaje miejscowym i na prowincyę
Fabryka zwierciadeł
MAURYCEGO Silberberga
8, Rymarska, 8.
☞ Uprasza się o łaskawe zwrócenie uwagi na
dokładny adres i Nr. 8,
z powodu istniejących firm podobnych.

ZAKOPANE
urocza miejscowość klimatyczna w Tatrach. Zakład wodoleczniczy
D-ra Chramca.
Całodzienne utrzymanie w Zakładzie wraz z kuracyą od złr. **3.50**. Poczta, telegraf, apteka w miejscu.—W Zakładzie hydropatja, kąpiele borowinowe, mięsienie, elektryzacja. — Pokoje elegancko umeblowane i w najlepszym stanie.— Bilard, gimnastyka, czytelnia. Na żądanie prospekta wysłane zostaną.—Na zamówienie powozy do stacyi kol. w Chabówce. ☞ **Zakład rozporządza obecnie 65 pokojami.**

BARDZO TANIO!
Roczniki „Prawdy" od 1881—1887 r., Dzieła Drepera, Haeckła, Ochorowicza, Woluminów Legum tom. 10 wydanie petersburskie, Dziennik Praw 78 tom., Przegląd sądowy 17 tomów, Temis Polski 8 i t. p. książki prawnicze—wszystko w prześlicznej oprawie, do nabycia w księgarni Hermastadta, Ś-Krzyzka 36.

F. Drechsler
Warszawa,
Leszno 14.



ROWERY od rs. 125—250.
BICYKLE od rs. 100—220.
Używane welocypedy od rs. 50.

GŁÓWNY SKŁAD ZAKŁADÓW ŻYRARDOWSKICH
w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście Nr. 55,
poleca:
☞ **Tkaniny Bawełniane Białe** ☜
własnego wyrobu, zastępujące najzupełniej co do trwałości i wykończenia najlepsze tkaniny francuzkie na Bieliznę damską, męzką i pościelową, a mianowicie:
☞ **MADAPOLAMY,** ☜
Płótna Tyrolskie, Domestiques, Kreasy Bawełniane, Dreliszki i Dymki
w różnych gatunkach, tak w sztukach i pół-sztukach, jako też i na arszyny,
☞ **PO NIZKICH CENACH.** ☜

Zarządzający Składem Żyrardowskim **L. Bułakowski.**

NB. Cenniki jako też próby z powyższych materyjałów, wysyłam na PROWINCJĘ odwrotnie i bezpłatnie.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 1 Іюня 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.